

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 21 (39)

Jerozolima, 1 listopada 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

DEMOKRACJA MAS

I

Rozpatrywanie zagadnień społecznych na tle przemian gospodarczych wywołuje z reguły oskarżenia, że się hołduje doktrynie materializmu dziejowego. Tymczasem dzisiejszy stan nauki, a w szczególności nauk społecznych, wymaga uwzględnienia tła gospodarczego przy tłumaczeniu zjawisk z zakresu życia zbiorowego. I dlatego dzisiaj spojrzenie na każdy problem z punktu znanego powszechnie procesu przemian gospodarczych ostatnich lat stu pięćdziesięciu jest obowiązkiem każdego, kto ma bodaj najskromniejsze ambicje, by dotrzeć do prawdy. Konieczność ta narzuca się niezależnie od zapatrywań politycznych badającego. Niezależnie od jego osobistych życzeń i przewidywań, jak się potoczy koło dziejów ludzkości.

Trudno wymienić wszystkie przyczyny tego stanu rzeczy. Główną jednak i decydującą stanowi sam człowiek i jego losy. Otóż ostatnich 150 lat przyniosło kilkakrotny wzrost ludności Europy, nowe warunki życia, nową warstwę społeczną, której powstanie tak samo jak i poprzednie zjawiska łączą się ściśle z nowymi formami produkcji. Świat pracy, który z proletariatu rozrósł się powoli, dzięki dalszym przemianom, w wielowarstwowy organizm, staje się w ciągu XIX i XX w. decydującym czynnikiem w kształtowaniu rzeczywistości politycznej. Znalazła się w nim pracująca inteligencja. Wskutek rozwoju potrzeb, produkowanych dóbr, oraz różnych stopni kwalifikacji, zróżnicował się świat pracowników fizycznych. A wreszcie, kryzysy gospodarcze czasów ostatnich włączyły w ten organizm pracowników rolnych, a nawet mniejszych właścicieli rolnych, którzy z powodu trudności gospodarczych musieli wyjść z patriarchalnych stosunków i szukać pomocy państwa.

Rolę tego świata pracy w życiu zbiorowym narodów i państw dyktują: potrzeba ochrony i masowość. Będzie ona zawsze wrażliwa i będzie coraz bardziej zasadniczym czynnikiem także i w rozwiązywaniu zagadnień politycznych. Już dzisiaj możemy na podstawie niedawnej przeszłości wyliczyć nieścisłości, które dotknęły narody wskutek niezdeterminowania przywódców mas pracujących, jak też korzyści, które osiągnięto wskutek tego, że stanęli oni na wysokości zadania. Historia Włoch, Niemiec, Austrii, by wspomnieć najsłabsze przykłady, pokazuje, do czego doprowadzić może pogwałcenie wpływów świata pracy. Odmienne było w Szwecji, gdzie przywódcy robotników, zdobywszy władzę i pozostawiając dotychczasowe historyczne formy rządzenia bez zmian, potrafili nadać im nową treść i bodaj że najsukuteczniej zwalczyli klęski gospodarcze w wielkim kryzysie r. 1933.

Dzisiaj stojąc wobec nowych możliwości organizowania przyszłości, musimy zdać sobie sprawę z prostej prawdy: próby eliminacji świata pracy z działania nowożytnego państwa nie powiodły się. Nie dały trwałych rezultatów, czy to eksperyment totalistyczny, czy też metoda eliminacji ich wpływów politycznych. Nie dały po prostu dlatego, że dzisiejsze społeczeństwo, bez współpracy nowych warstw społecznych, nie jest organizmem normalnym. Z drugiej strony współpraca tych warstw z resztą narodu, jest nakazem dobrze rozumianego ich interesu. Zmienił się bowiem stosunek do zagadnień i do spraw, od których zależał tak zwany konflikt interesów. Sprawy podziału dochodów, warunków pracy i dyspozycji narzędziami produkcji doznały zasadniczych przemian. Z jednej strony okazało się, iż przemysł i warunki jego rozwoju oraz działania są w wyższym stopniu podstawą bytu warstw pracujących, niż reprezentantów kapitału, z drugiej strony dokonał się przełom psychiczny, który określamy jest pojęciem zaniku „człowieka ekonomicznego”. Wreszcie zrobiła swoje kontrola państwa.

Zagadnienie, które próbuję naświetlić, jest kluczowym problemem naszej przyszłości. O ile można przewidywać, o ile nasze marzenia się spełnią, po raz drugi w ciągu XX w. ideały polityczne demokracji uzyskają możliwość wejścia na arenę międzynarodową. Tymczasem zmiany, wywołane pojawieniem się nowego świata w stosunkach społecznych,

wpływają na interpretację i znaczenie tych właśnie ideałów politycznych, które pozostają w służbie ludzkości od lat 150. Popełniamy stale błąd, myśląc o nich kategoriami z momentu ich tworzenia. Tymczasem jasne jest, że czego innego żądał od państwa mieszcza- nin Paryża w dniu Bastylii, a czego innego pragnie dzisiaj robotnik Manchesteru czy

Łodzi. Wszyscy chcą wolności, warunki jednak, w których żyją, powodują, że inne czynniki pozwalają realizować wolność dzisiaj, a inne realizowały ją 150 lat temu. Dlatego też tak istotną rzeczą dla odzicia demokracji, nadania jej nowego pędu jest zbadanie warunków, w jakich instytucje demokratyczne mają działać, oraz w jakich dotrzeć mogą do

jednostki, której szczęście i przyszłość jest jedynym celem jej programu.

II

Rok 1918 w oczach całego świata był zwycięstwem ustrojów demokratycznych nad autokracjami. Celem wojny było, wedle słów Wilsona, zabezpieczenie świata dla demokracji. Zasady rządu demokratycznego miały opanować sferę międzynarodową i automatycznie wykluczyć wojnę. Rządy ludu, który nigdy podobno nie żywi imperialistycznych ambicji, który zawsze miłuje pokój, miały rozpocząć nową erę. Ideologii tej towarzyszyła wiara w Stany Zjednoczone, wiara w mądrość ich przedstawicielstwa politycznego. W obozie zwyciężonym było, naturalnie, wiele gorczy, ale poza tym świat z ufnością spoglądał na Zachód. Od Chin aż po Zachodnią Europę wiązano z ukazaniem się najmłodszego mocarstwa na arenie polityki międzynarodowej nadzieje na lepszą przyszłość. Następnym jednak lat dwadzieścia przyniosło osłabienie ideałów demokratycznych w stosunkach międzynarodowych, odzicie programów imperialistycznych, zdawało się na zawsze zapomnianych, powrót do rządów despotycznych w skali dotychczas nieznaną. W tradycyjnych demokracjach, które od przeszło 150 lat żywiły świat myślą i programem rządów ludowych, zainteresowanie mas sprawami państwa osłabło. Rozbite wewnętrznie, marazm polityczny wywołały ostatecznie owe załamania się obozu demokratycznego i stworzyły warunki dla agresji Hitlera.

Niezrozumiałą rzeczą wydaje się nagłe zobojętnienie mas dla praw politycznych. Zagadnienia takie jak uprawnienia Izby Lordów, czy prawa polityczne kobiet, które np. w Anglii przed r. 1914 wywoływały żywą dyskusję, przechodzą w dziesięć lat później bez wrażenia. We Francji brak kontroli wyborców nad maszynami partyjnymi poszczególnych ugrupowań zwiększa swobodę kombinacji, przeprowadzanych przez polityków zawodowych. Wszędzie odczuwa się osłabienie nadziei na przyszłość. Ruchy reakcji społecznej we Włoszech i w Niemczech zdobywają masowo zwolenników wśród członków skrajnej lewicy. Hitlerizm i faszyzm są bezpośrednim rezultatem załamania się wiary w możliwość osiągnięcia lepszej przyszłości na dotychczasowych drogach, a w związku z tym załamania wiary w program demokratyczny.

III

W okresie Rewolucji Francuskiej ustrój społeczny i gospodarczy na Zachodzie Europy wyglądał tak, jak go opisywał prawie że równocześnie Adam Smith w swoim „Bogactwie narodów”. Na ruinach feudalizmu powstała liczna, przedsiębiorcza, bogata, mająca w swoim ręku niemal wszystkie źródła produkcji i cały handel, klasa mieszczańska, która pragnęła wolności. Pragnęła wolności dlatego, by jej nie przeszkadzano się bogacić. By ustały tradycyjne, przez zwyczaj i przywileje ustanowione, granice postępu społecznego. By świat wraz z coraz bardziej rozszerzającymi się horyzontami geograficznymi i ideologicznymi szedł stale naprzód. Szedł naprzód w kierunku postępu ekonomicznego. Zdobył prawa polityczne dla tej szerokiej masy producentów, wyznających zasadę rozwoju a nie stabilizacji, oznaczało zapewnienie realizacji pewnego programu ekonomicznego. Prawa polityczne i wolnościowe przedstawiały konkretną wartość gospodarczą dla szerokiej warstw społecznych.

W ten sposób powstały polityczne ramy dla laissez-faire'izmu. Społeczeństwo miało się najlepiej wówczas, gdy państwo strzegło jedynie swobody zmian i niezawisłości czynników gospodarczych od innych praw, oprócz naturalnych.

Dlaczego jednak państwo takie, jakie powstało w Anglii na skutek przemian politycznych, czy we Francji na skutek Rewolucji, czy gdzie indziej w ciągu XIX w. pod wpływem idei wolnościowych Rewolucji Francuskiej, godziło się z tym stanem rzeczy i przyjęło tę rolę, jaką ideologia laissez-faire'izmu mu wyznaczała. Po prostu dlatego, że ten stan rzeczy dawał najlepsze rezultaty właśnie z punktu widzenia interesów państwa. Zmie-

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

HOMO SAPIENS

Wśród mrocznych miast, po mrocznych schronach,

jak stada wypędzanych szczurów, gromady ludzi przerażonych pełzają u strzaskanych murów. Bezdomni, ślepi i wylękli, ruszają chyłkiem, znów przyklekli, złowrogo patrzą w niebo, szepczą, że głód, że śmierć, że — wszystko jedno i przeklinając ziemię biedną, ruszają znów, po trupach depcząc, znikają, mroczni i samotni...

Ja lecę ku nim, mściwy lotnik, i świecę reflektorem serca, bombami słów złowieszco zbrojny, ciskam je w zaciemnienie wojny, jak jeden z Czterech, co uśmierca.

A pierwszą bombę ciskam w Berlin! Za zbrodnię wojny, za pancerny rajd przez ojczyznę mojej piersi, za drapieżniki nad Warszawą, za rozwalony dom, za krawawą kałużę świata, co mnie mierzi, za pychę, podłość, mordy, gwałty, za pohańbienie słowa człowiek leczę me bomby w ich blackouty, niechaj im sen spędzają z powiek.

A druga bomba — w grób smoleński! Niechaj rycerze zmartwychwstają

i świecę każdy piersi raną, świadectwo dadzą krwi męczeńskiej, tej krwi niewinnej, z ręki kata przełanej w obcą ziemię czerstwą, że zgrozą lecz milczeniem świata, za wolność, równość i braterstwo.

A trzecia bomba — w tych, co wierzą, że dość jest rozdać broń żołnierzom i poszczuć ludy, poszczuć armie, wtedy się więcej złota zgarnie, by knuć nazajutrz nowe wojny, by kuć już dzisiaj nowe pęta. Biję w nich, gniewny i spokojny. Nie trzeba złota. Krew jest święta.

Zachowam jeszcze bombę jedną na czas, gdy blaski wojny zbledną, gdy bliski będzie już dzień kary za Wielkie Zaciemnienie sumień, gdy można szukać będą miary wolności ludów...

Gdy w ich tłumie nie będzie Polski, wtenczas, pieśni, aż w serce ziemi bij! Twe bomby niech jak Jerycha wrzaskną trąby, niech biją w ludzkość najboleśniej, niech do otchłani sumień dotrą, by na skrwawionej globu mapie stanął do walki przeciw lotrom dobry, spokojny — Homo Sapiens.

TARGOWISKO

Płacz, moja mazo piękna, pocieszycielko strapiionych! Oto mi serca pęka w dalekich i obcych stronach.

Mój pokój jak namiot się wzdyma gniewnym oddechem, serca łoskotem, a rozum każe: wytrzymać, a serce pyta: co potem?

Jak niewolnica naga, oto jesteśmy na targu, bicz historii nas smaga, słowo zamiera na wargach.

Możni pytają: „Ile?”, stręczy historia-rajfurka, a przecież my — Termopile, huk dział i motorów furkot!

A przecież to myśmy pierwsi, Winkelriedy pośród narodów,

we własne zebrali piersi ostrza wrażego pochodu.

Wyją wkóło nas hijeny, wznaga się gwar targowiska, ale nikt nie odgadnie ceny naszej krwi i naszego nazwiska.

Runą jedne potęgi, inne przytłoczą nam piersi, a my siegniemy po Księgi, które uczą życia i śmierci, i z Świtezi wyłonią się toni zatopieni rycerze i grody, i Dzwon zadzwoni, aby słyszały narody,

i przyjdą, i ziemię odmierzają zmartwychpowstałe wojska...

Nie opuści cię, polski żołnierz, tylko poezja polska.

W numerze:

Z poezji Polski Podziemnej. J. Wajdelota : O męczeństwie rapsod pozgonny. Pogrzeb. * * * — J. Larren-Lenczowski: Listy z Persji. Trudności Misji Amerykańskiej. — Kronika polska. — M. Górecki: Obrazy amerykańskie. — Sprawa polska w U. S. A. — Z. Broncel: „Czarna Brygada”. — Zdjęcia z Powstania Warszawskiego. — R. Hilton: Angliacy a wojna. — W. Choma: Na punkcie obserwacyjnym. — Wśród książek. dl.: Od Klaczki do Skulskiego. ww.: Angielska historia społeczna. — Seruator: Polonica w książkach angielskich. — H. S. Dominik: Opinie angielskie. — O reformie rolnej w Polsce. — ww.: Przegląd polityczny. — Z prasy polskiej.

niające się bowiem potrzeby gospodarcze, warunki produkcyjne, które z natury rzeczy musiały doprowadzać do przesunięć kapitału i pracy, w tym systemie dużej ilości niezawisłych i małych warsztatów dokonywały się bez szkody dla społeczeństwa. Nie wywoływały tych katastrofalnych skutków i zmian, które później w innych warunkach przybierały formę klasowej społecznej, kryzysu. Przełom bowiem XVIII i XIX w. to produkcja w warunkach bardzo korzystnych dla producenta. Brak maszyn, a z drugiej strony zapoczątkowujące się masowo komunikacje, powodują, że nieznane jest zjawisko nadprodukcji. A poza tym popieranie grup produkcyjnych oznaczało powiększanie się dochodów państwowych i liczby ludności — dwu czynników siły państwa.

W praktyce realizacja haseł Rewolucji Francuskiej, jeżeli idzie o prawa polityczne jednostki, była ograniczana przede wszystkim do tych grup społecznych, którym przyniosły one władzę. Dopiero dobrze pod koniec XIX w. można mówić o przyznaniu praw politycznych szerokim masom społecznym. Anglia, Belgia, a nawet Francja (Trzecia Republika) dopiero wówczas zrealizują w poważnym stopniu powszechne głosowanie.

Dlatego też z reguły świat pracy, który ze względów na organizację produkcji przemysłowej końca XVIII i początków XIX w. (małe warsztaty) nigdzie nie występuje w większych zgrupowaniach, nie daje silnie odczuć swego znaczenia. Nie można przeczyć na podstawie ówczesnych stosunków politycznych przyszłej jego roli. Nie dlatego nie odczuwał się głos wydziedziczonych w obronie prawa do życia, że warstwom pracującym (a w szczególności proletariatu) było wówczas lepiej niż później, że mniej odczuwał on potrzebę opieki państwa. Ale rozbicie, brak większych mas, zatrudnionych w warsztatach produkcyjnych, powodował, że konflikt między kapitałem (przed którym, dopiero za parę dziesięcioleci lat stanie zagadnienie koncentracji) a pracą nie przybierał form gwałtownych. Wszystkie konflikty na tle rozdziału dóbr odbywały się łagodnie, jakkolwiek zawsze towarzyszyły one życiu społeczeństw na Zachodzie Europy.

IV

W tym samym roku, kiedy Adam Smith dał teorię laissez-faire'izmu, Watt wynalazł maszynę parową i tym samym stworzył warunki, które obaliły tę doktrynę. Mianowicie, zamiast wielkiej ilości małych warsztatów, które rzadko tylko zajmowały się produkcją bardzo specjalnych towarów, zamiast łatwo przesuwalnego kapitału powstaje system wielkich instalacji i urządzeń fabrycznych, dla których wszelkie zmiany posiadają zasadnicze znaczenie. Utrata rynków zbytu dla pewnych gałęzi przemysłu oznacza utratę wielkich ilości kapitału i bezwartościowość kosztownych instalacji, a z drugiej zaś strony uderza w wielkie masy robotnicze.

Koncentracja kapitału wywołuje koncentrację proletariatu. Proletariat zaczyna się organizować, powstają związki zawodowe. Zamiast praw politycznych szerokich warstw producentów pojawia się postulat praw politycznych dla świata pracy, który walczy o prawa pracy. Wielkim organizacjom gospodarczym przeciwstawiają się wielkie masy robotnicze. W momencie, gdy ten proces się zamykał, gdy słabnie znaczenie polityczne i gospodarcze dawniej warstwy drobnych i licznych producentów, warunki społeczne i gospodarcze wyglądają już zupełnie inaczej.

V

Odmalowane przemiany w strukturze społecznej i gospodarczej mają swój refleks prawny i polityczny. Zmienia się interpretacja pojęcia praw politycznych i obywatelskich. Nabierają one dla szerokich warstw społecznych znaczenia możliwości walki o prawa społeczne. W konsekwencji też zmienia się rola państwa. Zamiast interwencji w sprawy społeczne, gospodarcze, warstwy pracujące szukają poparcia państwa w realizacji swych postulatów.

Ale nie tylko zmienia się treść i wykładnia owych pojęć prawnych. Nowy układ społeczny przetworzył również i mechanizm życia politycznego, co w konsekwencji przyniosło odmienne oddziaływanie społeczeństwa na państwo. Pierwotna koncepcja praw politycznych i wolnościowych była pojęciem indywidualistycznym. Służyły one jednostce, która była częścią narodu, jedynej politycznej zbiorowości, suwerennego źródła władzy państwowej. Obywatel był sam dla siebie czynnikiem politycznym. Tymczasem nowy układ stosunków tworzył wielkie organizacje zawodowe i polityczne. Na czele tych organizacji stanęli specjaliści, politycy, których funkcją społeczną było operowanie siłą polityczną, sumą praw politycznych, grup obywateli dla zrealizowania dążeń i pragnień mas robotniczych. Jednostka przestała rozumieć istotę gry politycznej i brać w niej udział. Powstaje instytucja przywódców partyjnych.

Zmienił się także teren walk politycznych. O ile w okresie klasycznej demokracji właściwym polem rozgrywki politycznej były ciała reprezentacji ludowej, to z biegiem czasu walka o prawa społeczne przeniosła się poza trybunę parlamentarną. W początkach bowiem ruch zawodowy, słabszy politycznie, nie mógł znaleźć platformy dla legalnego przeprowadzania swych postulatów. Ponieważ

jednak wzrastała świadomość znaczenia świata pracy w procesie produkcji, którego znaczenie gospodarczo było większe, niż polityczne, szukano dróg, na których można by tę nierówność usunąć. Systemy wyborcze nie zawsze pozwalały na to, by siły społeczne znajdowały pełne odzwierciedlenie w składzie parlamentu. Stąd tendencja użycia realnej siły dla uzyskiwania koncesji w drodze bezpośredniego nacisku na sfery gospodarcze. Wkrótce też walka o prawa społeczne i urzędzenia socjalne przerodziła się w usiłowania zalegalizowania tych metod nacisku. Dyskusja nad strajkami i lock-outami zajmuje mnóstwo miejsca w debatach parlamentarnych końca XIX w. Organizacje polityczne i zawodowe działają w pierwszym rzędzie jako grupy nacisku faktycznego, presji na te warstwy społeczne, które mogły dać koncesje. W rezultacie, najważniejsze zdobycze świata pracy, zanim zostały zalegalizowane na platformie parlamentarnej, osiągnięte były w boju, toczonym często poza prawem, a nawet wbrew panującym przepisem.

VI

Ten jednak szczęśliwy okres, w którym opisane przemiany zachodziły, dzięki specyficznym warunkom znajduje sposoby zaspokajania rosnących potrzeb świata pracy. Wzrastająca dochodowość przemysłu europejskiego pozwala na zwiększenie udziału w tych dochodach robotnika. Równowaga gospodarcza, utrzymywana dzięki temu, że coraz szybciej wzrastająca produkcja zdobywa coraz to nowe rynki zbytu, daje margines bezpieczeństwa. Dalszy wentyl bezpieczeństwa stanowią kolonie i szeroka emigracja do Stanów Zjednoczonych, które pochłaniają miliony robotników i bezrolnych, nie mogących znaleźć pracy w Europie. W ciągu ostatnich lat stu, do wybuchu pierwszej wojny światowej, dochód realny na głowę mieszkańca Europy wzrósł przypuszczalnie czterokrotnie. Ten margines bezpieczeństwa powoduje, że prawa polityczne i instytucje demokratyczne są dla mas społecznych atrakcyjne, stąd walka o miejsca w parlamentach Europy dla reprezentantów warstw pracujących. Dlatego demokracja żyje. Ekonomia demokracji liberalnej znajduje miejsce na nowe zadania.

Stan ten jednak wkrótce ulega zmianie. Kryzysy gospodarcze z końca XIX w. coraz dobitniej przestrzegały ludzkość, że system, w którym żyje, może zapaść. Jeżeli zestawimy opisy ustroju gospodarczego świata z r. 1914 z tym, co Europa przechodzi już w sześć lat później, uderza nas zasadnicza różnica. Od zakończenia wojny światowej Europa (inaczej niż Stany Zjednoczone, które po krótkim kryzysie w r. 1920 przeżywają największą w ich życiu „prosperity“, zakończoną zresztą też wielkim kryzysem) żyje w przewlekłym stanie chorobowym. Nie może wydobyć się z nieznanych dotychczas trudności gospodarczych. Rozbicie, dezorganizacja rynków, dewaluacja, zniknięcie waluty międzynarodowej, brak środków na międzynarodowe inwestycje kapitałowe, zanik roli Londynu, jako centrum bankowego świata, wzrost taryf, oto niektóre symptomy tego stanu. A rezultaty — rozróżnione koło produkcji i postępu zatrzymało się. Jednocześnie znikają marginesy zysku, który stwarzał możliwość zaspokajania wzrastających żądań warstw pracujących, walczących przy pomocy praw politycznych o realizację postulatów socjalnych.

W tej sytuacji nawet opanowanie pełni władzy nie mogło dać doraźnych korzyści przedstawicielom mas pracujących. Trudności, w jakich znalazły się przemysły poszczególnych krajów, zmuszały do redukcji żądań, a nawet do rezygnacji z osiągniętych już zdobyczy. Najlepszą ilustracją tego jest zawód sprawiony angielskiemu robotnikowi przez laburzystę MacDonalda (1929-1931), który ratując podstawę egzystencji warstw pracujących, przemysł, doprowadził do obniżenia dochodów robotnika. Tak samo było wszędzie w Europie, ze szczególnym wyjątkiem Szwecji, której przywódcy znaleźli odwagę, by wkroczyć na nową drogę, pozwalającą utrzymać wartość urządzeń demokratycznych.

Ten stan rzeczy nie mógł pozostać bez wpływu na nastawienie polityczne mas. Stosunek ich do instytucji demokratycznych był inny, niż obywateli sprzed lat 150. I w konsekwencji kryzysy gospodarcze spowodowały zobojętnienie polityczne mas, a jednocześnie zdeorganizował je. Niemożność pokonania trudności gospodarczych w istniejącym systemie uderzyła przede wszystkim w zawodowe organizacje polityczne, zmniejszając ich liczbę i znaczenie, a zwiększając niezorganizowany element, z którego potem dowoli czerpały ruchy Hitlera, Mussoliniego, Le Roqua'a czy Mosley'a.

VII

Nie wszystkie narody po tej wojnie zastosowały demokratyczną formę rządów. Niektóre z nich bowiem albo w ogóle nie mają danych po temu, albo mogą dojść do odpowiedniego stopnia kultury i wyrobienia politycznego po tak długim czasie, że w tej chwili nie należy brać tego poważnie pod uwagę. Tak samo jak pewne narody nie nadają się do demokracji, tak inne nie mogą żyć inaczej, jak w demokracji. Dla tych państw zagadnienie ożywienia, przywrócenia wartości prawom politycznym, udziałowi obywatela w działaniu machiny państwowej jest sprawą życiową.

Trudno omówić wszystkie warunki, od których spełnienia zależy wprowadzenie demokracji na nowe tory. Zasadniczym z warunków jest znalezienie nowej drogi postępu gospodarczego, który pozwoli na powiększenie udziału i poszczególnych grup społecznych, i jednostek w zwiększającym się dochodzie narodowym. Musimy jasno sobie zdać sprawę z tego, że dotychczasowe metody, dobrowolne czy przymusowe ofiary warstw posiadających, nie rozwiążą zagadnienia na stałe. Należy znaleźć nowe zasady gospodarowania, działalności ekonomicznej. Moment zysku, który już od dłuższego czasu traci na znaczeniu, zwłaszcza jeżeli idzie o działalność wielkich koncernów przemysłowych, jak się zdaje, odpadnie. Techniczne możliwości produkcji są w zupełności wystarczające. Pozostaje jedynie do zorganizowania społeczna strona gospodarki narodowej, a z kolei i światowej. Niedostatecznie znane doświadczenia szwedzkie z okresu, bezpośrednio poprzedzającego obecną wojnę, mogą tu dostarczyć wskazówek. Metoda subwencjonowania konsumpcji, a nie produkcji, jak się zdaje, będzie jednym z właściwych środków.

Drugim czynnikiem, który z biegiem czasu będzie coraz skuteczniej działał na rzecz demokratycznej formy rządu, jest oświata i kształcenie szerokich warstw społecznych. Program nauczania, nawet na najniższym stopniu, nie może ograniczać się jedynie do zdobycia zasadniczych umiejętności czytania, pisania i rachowania, co do dziś dnia nawet w wysoko rozwiniętych państwach Zachodu jest bardzo często istotą programu.

Trzecim wreszcie zasadniczym czynnikiem musi być uproszczenie życia politycznego i wprowadzenie w nie możliwości każdego obywatela. Powiedzenie Heraklita, że „lud musi walczyć o prawa jak o mury miasta“, może nabrać z powrotem aktualności, gdy uprosi się działanie państwa. Trzeba wydobyć jednostkę z mechanizmu organizacji politycznych i zawodowych, znaleźć metody bezpośredniego apelowania do niej. Mąż stanu, mający możliwość bezpośredniego porozumienia się z narodem, któremu w ciężkich chwilach przewodzi, ma znacznie więcej siły i odwagi decyzji, niż premier, którego opłatuje mnóstwo pośredników, robiących karierę na informowaniu opinii publicznej. Z pomocą przyjdą tu doświadczenia wielkiej demokracji z ciężkich momentów, w jakich się wskutek biegu wypadków znalazły. W takich wypadkach drogie do władzy znajdują ludzie wybitni, ludzie, powoływani przez naród. Wielcy przywódcy. Teodor Roosevelt, Franklin Roosevelt, Wilson, Churchill czy Lloyd George, byli zżymy, krnąbrnymi i niepopolarnymi członkami w łonie własnych ugrupowań politycznych. Poparcie, udzielane przez maszyny partyjne tym ludziom, było często nie dobrowolne, ale wywołane presją narodu. Dzisiaj możliwość kontaktowania się z całym narodem, dzięki prasie, taśmie filmowej, radiu, a w najbliższej przyszłości chyba i telewizji może stworzyć z

leadership'u typu amerykańskiego stałą instytucję polityczną także i poza kontynentem amerykańskim. Warunki konstytucyjne dla instytucji przywódcy w ramach systemu demokratycznego istnieją w tej chwili w systemie amerykańskim, gdzie cały naród wybiera swego przedstawiciela i szefa rządu, cały też naród interesuje problem odpowiedzialności za wykonywanie powierzonych mu władzy.

Rola ciał ustawodawczych, reprezentacji ludowych, w których wszelkie kierunki myśli politycznych, nurtujących narody, powinny znaleźć swoje odzwierciedlenie, będzie zawsze kluczowa. Im bardziej będzie rozwinięta zasada przywództwa, tym liberalniejszym może być dopuszczanie do reprezentacji narodowej nawet małych i słabych ugrupowań politycznych. Parlament, którego głównym zadaniem będzie, jak zawsze, informowanie opinii publicznej o biegu spraw państwowych i wykonywanie kontroli, nie będzie zamkniętym komitetem specjalistów. Rola polityka zawodowego musi być w przyszłości znacznie ograniczona. Zapobiegnie to tworzeniu się elit rządzących, porozumień jednostek, mających na celu robienie karier politycznych. Z drugiej strony udział ludzi, którzy z życia praktycznego przechodzą na pewien okres czasu do ciał parlamentarnych, stworzy możliwość wykorzystania ich w instytucjach analogicznych do tak szczególnie działających komitetów parlamentarnych Wielkiej Brytanii, stwarzając instytucję pośredniczącą pomiędzy władzą wykonawczą a reprezentacją narodu.

VIII

Obraz, nakreślony dotychczas, odnosi się przede wszystkim do stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych na Zachodzie Europy. Nie wszędzie fazy, opisane powyżej, zachodziły jednocześnie. Polska, położona raczej na skraj Europy Zachodniej, przeżywała je — tak samo jak i wszelkie inne prądy społeczne i kulturalne — z pewnym opóźnieniem. Proces odrodzenia Rzeczypospolitej z końca XVIII w. zaczął także i od strony gospodarczej, nawiązując niesmiako do myśli merkantylistów. Potem przy każdej sposobności, kiedy tylko burzliwy dla niej wiek XIX na to pozwalał, wracała do myśli oparcia swego ustroju społecznego i walki o swoją samodzielność polityczną na zdrowych podstawach ekonomicznych. Wymowne świadectwo przynoszą słowa Szczepanowskiego, który widział w osiągnięciach gospodarczych Sejmu Czteroletniego, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, Banku Polskiego i Towarzystwa Rolniczego Polskiego szereg wysiłków, zmierzających do zrównania społeczeństwa polskiego z narodami cywilizowanymi. Niestety, brak samodzielności politycznej stanął na przeszkodzie wyrównaniu tej przepaści nierówności gospodarczej. Nigdy nie była ona większa, niż dzisiaj. Ten też czynnik będzie miał dodatkowy wpływ na układanie się naszych wewnętrznych stosunków politycznych.

Nigdy jeszcze bowiem czynniki gospodarcze nie miały takiego znaczenia dla życia społeczeństwa i państwa, co dzisiaj. Nigdy jeszcze stan przemysłu nie decydował w tej mierze, co dzisiaj, o sile armii, o równowadze społecznej, o spoiściści państwa. Nigdy nie miał tak wielkiego poza gospodarczego znaczenia. Dlatego postulat przebudowy gospodarczej celem uzdrowienia stosunków politycznych jest jeszcze bardziej istotny, niż gdzie indziej. Walka z ogólnym ubóstwem, niezdrową strukturą społeczną, powiększenie warstwy robotników przemysłowych, kadr ludzi o wykształceniu technicznym, słowem unowocześnienie naszego społeczeństwa — oto najogólniejszy program.

Z drugiej strony samo dopędzanie narodów zachodnio-europejskich daje nam miejsce na początkowy rozpad, który może mieć istotne znaczenie dla ożywienia systemu demokratycznego w Polsce.

Te specjalne warunki, w jakich potoczy się życie wewnętrzne państwa w Polsce powojennej, zmusza do nastawienia ustroju w specjalny sposób. Polska przyszła, Polska przemian społecznych, Polska postępu gospodarczego musi obrócić się twarzą do tych, którzy przyjdą i będą dziedzicami, da Bóg, już lepszej przyszłości, bardziej zabezpieczonej naszą własną siłą, niż obecnie. Musi wybrać właściwy ustrój polityczny, który pozwoli, by tempo zmian nie zakłócało życia państwowego, by znalazło aparat sprawny i elastyczny, a z drugiej strony miejsce dla tych, których znaczenie będzie się powiększać. Ustrój prezydencki, z głową państwa i szefem władzy wykonawczej w jednej osobie, wybraną przez naród spośród kandydatów, stawianych przez naród, wraz z ciałami ustawodawczymi, reprezentującymi wszystkie odcienie polityczne, odpowiada — zdaje się — najbardziej potrzebom przyszłej Rzeczypospolitej. Warunkiem jest właściwe postawienie roli Prezydenta Państwa. Nie może on pochodzić z niezwykłej nominacji, nie może go wybierać żaden surogat narodu, i nikt prócz narodu nie może wybierać kandydatów. Wszelkie „erzatz“ woli narodowej odsunąć obywatela od spraw państwa. Tak pojęty szef rządu jest demokratycznie odpowiedzialny za pełnienie swego urzędu, jest przywódcą i służą państwa, jest jednym z obywateli, cieszącym się zaufaniem rodaków, a nie jednym z dynastii wodzów, którzy normalnie już w następstwie genialnego założyciela wykazują wady i cechy zwyczajnych, ograniczonych zjadaczy chleba.

Kazimierz Grzybowski

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“ zaczęły wychodzić polskie przekłady głośnej angielskiej serii broszur politycznych

„OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS“

Jako dwa pierwsze numery ukazały się

Nr 1

D. W. BROGAN

Prof. Uniwersytetu w Cambridge

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA

Nr 2

IVOR THOMAS

Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?

Dalsze zeszyty w druku

Cena każdej broszury 50 milsów

Z POEZJI POLSKI PODZIEMNEJ*)

JAN WAJDELOTA

O MĘCZENSTWIE RAPSOD POZGONNY P O G R Z E B

DEDYKACJA:

Tym, którzy mieli odwagę, hymn ten płomienny poświęcam,
walczącym z wroga przemocą polskim Żydom Warszawy.
Wiem, że nie słyszą już pieśni i chodzą w laurowych wieńcach
na drogach niezbadanych, lecz na gościńcach sławy
dudni kapela w marszu i surmy mosiężne dzwonią,
a sam Żółtkiewski wawrzyny własną rozdałę dłonią.
— Czyż inny grób wypełnili, nie nasz ojczysty
skarbiec daremnych ofiar, wielki i czysty?

1
Sędziowie wstali i w surmy zadać kazali aniołom,
aby poderwać śpiący lud z pokolenia Judy,
a sami poszli w zacisze i, ziemię skłaniając czołom,
w cichej zastygli modlitwie. Wizje spłynęły i cudu
znaki wyraźne dały, w dłonie płomienne miecze
zatknęły i wnet odbiegły. Oto zerwana już pieczęć
i wszystko wiadome teraz. Krzew gorejący, słońce
powstało gniewne w horyzont: to krew, to rany krwawiące!...

Strumień zbudzonych głosów spotężniał w szum huraganu,
bo wszyscy czekali, mówiąc, zali naprawdę Adonai
objawił łaskę wybranym. Niektórzy bluźnili Panu,
pytając z głośną ironią, czyli nie słowo konaj,
jest tym jedynym słowem, jakie od wieków pada
z granitu milczących niebios. Czyż nawet bluźni gromada,
to mówiąc w gniewie żalosnym, gdy każdej niemal chwili
zduszone dłonią najeźdźcy dziecię w agonii kwili?

Nadeszli jednak Sędziowie. Rozwiewał ich złote szaty
wiatr, igrający na wzgórzu, że w krwawym słońca poblasku
jak płynny metal błyszczały. Cud — pomyśleli — w szkarłaty
krew słońca ubrała widma. A miecze wznesione na płask
spiorunowały przestrzeń. Rozdarte błyskawicami
opadły niebios połowy. Nad zdumionymi głowami
otchłan wszechbytu runęła i gwiazdy. Co rzekł Odwieczny?
Nic nie słyszeli, wiedzieli jednak: miecz obosieczny.

Cisza niedługo trwała. Pod niewidzialną dłonią
eterem napięte cytry zagrały i surmy dzwoniąc
harfę i głos Dawida porwały w pęd minioności
i zrozumieli już wszystko najprędzej ludzie najprostszy.
Jozue wyszedł na czoło i wzięwszy Sędziowskie miecze
przystanął, czekając znaku. Czas wolno chwilami ciecze
z przepaści niewiadomego, lecz nagle oto w krzyk krwawy
buchnęło słońce i wrzawa wstała nad ghettem Warszawy.

2
Ziemią wstrząsnęły grzmoty. Sturwożone zbiegły się domy
ponad brzegami chodników i z okien, jak ze żrenicy,
strzeliły ogniem pociski. Skończyły się już pogromy
i dni ucisku i hańby. W burzy zgniewanej ulicy
przemówił głos bohaterstwa. I jeśli ginąć — to walcząc,
to cios oddawać za ciosem, to, osłaniając się tarczą,
dumnie potykać się z wrogiem. Na maszty — uczuć kolumny
wciągnięto flagi, śpiewając. Czy śpiew też legnie do trumny?

O, chwała ci, Jeruzalem, lecz również chwała Warszawie.
W dudnieniu petard i w ogniach granatów ręcznych
ginie współczesność jak przeszłość, ale okropniej i krwawiej
rzy dziki rumak bojowy. Krzyk, krzyk wielotysięczny
rozrywa przestrzeń w atomy. „Ginącym wieczysta chwała!” —
śpiewają chóry aniołów. Jozue jak oszalała
uderza w bój nawałnica. Lecz nikt nie jęczy i płacze,
tylko świstają kule i czar rozrywają kartacze.

Prowadź nas do zwycięstwa, Samsonie i królu Dawidzie!
Jaki pokonać nas może Goliat i jaki mocarz,
kiedy na tęczy pocisków sława tańcząca idzie
i śpiewa pod sztandarami hosannę: oto jest procarz,
umiłowany przez Pana. Gdy napnie w rzemienie kamień,
powietrze pęknie ze świstem i padnie w gwiazdzystą zamieć
i zwali z niebios w płomieniach smoka i jego plemię,
tak uratuje swój naród, śpiewy, muzykę, ziemię.

3
O, współczesności, jak mało cenisz samego ducha!
Cóż mogą dłonie bezbronne i serce wielkie i męzne?
Dłonie chwytają powietrze, lecz jakże w jego rozruchach
oprzeć się padającym, gdy ściany, choć niebosiężne,
łamią się i znikają z każdym uciskiem ciała.
Przed domem, w którym zostały dziatki, Rachela stała
i, powstrzymując swą rozpacz, śledziła męża zapasy,
lecz że miał pierś za fortecę, runął martwy za nasyp.

Błogosławione niech będą wszystkie domy strzeliste.
Od trudu twarde dłonie wzniosły je ku otchłani,
kładąc na cegłę cegły. Pośród płonących isker
Rachela jak ptak wypływa w przestrzeń. Zatańczyć na niej
i zawirować jak gwiazda i toczyć się jak atomy
w ciemności nocy wieczystej, gdy ziemią wstrząsają gromy;
gdy gwar żaźartej walki dobiega z płonących piekieł,
upaść w trumnę otchłani zwolnionym z cierpień człowiekiem.

Tak pomyślała i, dzieci pchnąwszy za krawędź czasu,
sama skoczyła w próżnię. Jęk zerwanego powietrza
ostatnią im pieśń zanucił. O, czytelniku, nasaun

*) Przedruk z wydanego podziemnie w Warszawie w b. r. tomu
wierszy „Z otchłani”.

na czoło krepę żaloby i proś o modlitwę wieszczą,
który z tej stanowczości, odwagi, brawury i ciszy
właściwie zerwie natchnienie, a kiedy słowa usłyszysz,
zbudzone ze snu słowników, nawlecze je w nici rymów,
krwią może własną przepoi i stworzy opowieść czynu.

Tymczasem walka nie cichła i czas przepływał wciąż krwawy,
dziwiąc się w sobie samym. Czyli istnieje na jawie
ten bój nierówny przemocy z walczącym ghettem Warszawy?
A jednak istniał niezmiennie. O, wicherze, o, wicherze, zawiej
ostatnie głosy agonii i uderz w twarz głośników!
Niechaj śmiertelna bladeść wyrośnie z jęków i krzyków,
niechaj salony świata przebiegnie w płasach tanecznie
i wionie zapachem trupów śmierć — zapomnienie wieczne.

4
Może pochwalisz się, siło, swej barbarzyńskiej dzicy
i zagrasz sobie na chwałę sztuką muzyczną Wagnera
nową pieśń Nibelungów; lecz pieśni twej odrzuczy
jęk mordowanych dzieci i cisza, która rozwiiera
całą przepaść szaleństwa. Zbroczone krwią, staną nieme
nuty na liniach hymnów i rzucą całe swe brzemie
prosto w twarz dyrygenta. Wypływają zamiast trąb grania
całą czerwień twej zbrodni i hańbę zamiast śpiewania.

Tuż za zmartwiałą publiką na samym brzegu krawędzi
silny stanął Germanin. Zaprawdę scena jedyna:
w dłoniach potężnych dziecię kwili, krwią pluje, rzezi,
jak zgnieciona przez moce dzwonu pieśń. Gdy olbrzyma
w górę wzniosła się ręka, czas zastygnął i potem
głowa dziecka o skałę pękła z głuchym łoskotem.
Graj, kapelo niemiecka, uwerturę swej chwały!
Czemu milczysz, czy nuty w krew się jasną rozlały?

Furczą jeszcze sztandary. Trzy się tulą do wiatru:
gołębica i krwawnik, polski sztandar oraz gwiazdzysty
sztandar wolnych narodów na angielski się napłócił
i złęczone w objęciach uderzają przez iskry
w eter wolnej przestrzeni. Pod te właśnie sztandary
padła mężna drużyna. Lecz tkwi jeszcze znak wiary,
choć go ręka niemiecka zedrze z masztów wśród chmury,
znów zawionie na nowo z wolnej ziemi raz wtóry.

5
Czym spaliły się ciała w proch zwęglone popiołów,
czy ogniami bomb spłomienione w umy zaległy,
czy niemiecka je ręka, oddając w pożar żywiołów,
tak spaliła w garsteczki prochów? To duch niepodległy
zamienił was naprzód w ogień, a później rozspisał prochem
na cztery strony świata w powiewach wiatru i szlochom
zaniósł na oddech ziemi, na fal promieniowanie
i odlał w kształt historyczny i wraził w pokoleń pamięć.

Poranek stanął nieśmiały jak zalękniony młodzian,
a piękny jako anieli w wizji biblijnych proroków,
stapając dźwięczał jak harfa; za nim w słonecznych łodziach
spłynęły chóry niebieskie i cisza stanęła wokół.
A później z głębi otchłani pieśnią buchnęły na ziemię
żałobne psalmy harfistów. W melodję runęła cieniem
śmierć i na czaszkach szkieletów piekielny zadźwięczał taniec.
Poranek klęknął przy zwłokach, złamany opłakiwaniem.

A wtem ostatni padł wystrzał i ostatnia już nawet salwa
złamała okrzyk walczących. Dźwięki chwyciła cisza
w dłonie i zadławiła. Rozpłomieniła się barwa,
cała w czerwień ubrana, i rozplynęła się w wiszar
między niebem a ziemią. A jako kiedyś przez morze
wywiódł hufce swe Mojżesz, tak i teraz, porzecz
rozpostarkszy żałobny, wywiódł w świetle pochodni
krwawe cienie Jozue. Czas zalał się pod nim.

6
Czyż mogłem o tym zamilczeć? W mroku szalonych nocy
cienie dźwięcznych cymbałów Jankiel mi Andriollego
zastawiał i, cicho strojąc, uderzał następnie z mocą
w zwolane dźwięki przeszłości. Stawały też wokół niego
Dawne postaci polskie, a w mlecznym świetle miesiąca
Rachela w cień Wyspiańskiego płakała i każda drżąca
łza, w smugę światła runąwszy, jako młoteczki pianin
hymn wyzwała żałobny. Właśnie poszedłem za nim.

I czemu, ziemio falista, płaczesz, o, obiecana,
a smutek szaty rozrywa w cichych ulicach diaspory?
Czyż nie najlepsza ziemia w łonie znajduje się Pana,
czyż czyn nie mówi nam więcej? Ten bohaterzki poryw
w krwi opłukał ofiarnej piętno tchórzostwa i wżgardę.
Dziś zasłuchany w opowieść, czyż nie zrodziłem się bardem
i śpiewam wraz z moją harfą i palę pod nimi ziemię.

Gdybyście byli tu ze mną! Któż tak uwierzy pocie,
że z betonu wzrosły chodników krwią napojone kwiaty?
Że gdy w powietrze porwane wybuchem petard, miast wzlecieć
ciała ponownie na ziem, wionęły błyskiem w szkarłaty
i uleciały w przestrzeń, śpiewając hymny i wzniosłe
czyli swą chwilę ostatnią? Komety pędzą na oślep,
lecz wierzę, świadek tej walki, że duch męznego człowieka
na przywołanie ponowne wśród gwiazd płonących czeka.

Warszawa, 1 marca 1944 r.

Trumną był piec krematorium,
Z powietrza przejrzyste wieka
I dym z żywego człowieka,
Wywiany kominem historii.

Jakże mam uczcić śmierć twoją?
Jak iść za twoim pogrzebem,
Bezdomna garstko popiołu
Pomiędzy ziemią a niebem?

Jak rzucić wieniec zielony
Na grób, wykopany w powietrzu?
To arka na cztery strony
Świata — pod ogniem najeźdźców!

Nie spłynie z armat huczących
Nieistniejąca twa trumna,
Tylko powietrzna kolumna
Oświeca śmierć twoją słońcem.

I jest milczenie olbrzymie
Na ziemi, jak sztandar zdeptany
W trupów zduszonym dymie
I w krzyżu ukrzyżowanym.

*
* *

Tu także jak w Jeruzalem
Jest posępny mur placu.
Ci, którzy pod nim stali,
Już go nie zobaczą.

Pusta noc, pusty dom, głuchy gmach.
Stąd ich wywleczono.
Została ciemność i strach
I wnętrza — śmierci łono.

Domy w kamiennym pochodzie
Pod nieubłagany niebem
Jak gdyby szły za pogrzebem
Tysięcy rodzin.

Chrześcijan, rzuceni lwom,
Wiedzieli, za co konają,
A wy? — Oto pusty wasz dom
Ogień, ślepy właściciel zajął.

Nie rzucił nikt dobrej ziemi
Na ten masowy grób —
Milczeniem pozdrowieni,
Wolni od zdrady słów!

Gdyście ustami jak rany
Pragnący wołali wody
Z pociągów odrutowanych,
Nikt wody nie podał.

Uciekała ziemia spod wyklętych,
Zapadała się w dymy kolei
Warszawa, gdy w szybach pięter
Słońce wołało, że dnieje.

NOWOŚĆ !

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z E”
ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

POEZJA KARPACKA
Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców
Karpackich
Wiersze:
B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. He-
mara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. La-
skowskiego, S. Młodzeńca, J. Nałęcz, K.
Nałęcz, T. Sowińskiego. — Pieśń Brygady.
Cena: 200 milsów
Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

LISTY Z PERSJI

Trudności Misji Amerykańskiej

Dyktatorem życia ekonomicznego Iranu jest dr Millsaugh, Amerykanin. Oficjalny jego tytuł brzmi: administrator generalny finansów. Od grudnia 1942 r. dr Millsaugh sprawuje wszelkie niepodzielne rządy nad życiem gospodarczym Iranu. Pełnomocnictwa bowiem tego Amerykanina sięgają dużo dalej, niż to wskazuje jego formalny tytuł. Doktorowi Millsaugh podlega nie tylko administracja skarbu, lecz także regulacja importu i eksportu, sprawy dewizowe, transport, rozdział, racjonowanie towarów, monopole, regulacja cen, walka z paskarstwem i spekulacją. W ten sposób jednoczy on w swym ręku funkcje ministra skarbu, ministra gospodarki narodowej i liczne uprawnienia ministra pracy, ministra przemysłu i handlu oraz ministra komunikacji. Nie znaczy to, by ministrowie wyżej wspomnianych resortów nie istnieli w Iranie. Owszem, istnieją i sprawują swe funkcje, jednak z wieloma praktycznymi ograniczeniami, wynikającymi z pełnomocnictw dra Millsaugh. W wielu wypadkach zadania ich ograniczają się wszakże właściwie tylko do odpowiedzialności parlamentarnej za działalność urzędniczą, jakim jest on formalnie. Mocą specjalnej ustawy, uchwalonej na jesieni ubiegłego roku przez parlament, t. zw. ustawy 13-go Ordibechesztu, dr Millsaugh nie tylko otrzymał daleko idące uprawnienia celem usprawnienia życia gospodarczego Iranu, lecz także uzyskał możność dokonywania sobie sztabu, złożonego z 60 ekspertów ekonomicznych narodowości amerykańskiej. Stało się to na wyraźne jego żądanie, gdyż uważał, iż zamierzone przezeń reformy będzie mógł przeprowadzić jedynie w oparciu o zaufany i wykwalifikowany zachodni personel.

Dr Millsaugh nie jest w Iranie nowicjuszem. Był tu już przed blisko dwudziestu laty w charakterze głównego doradcy finansowego. Był to okres pokoju i początek reżimu szacha Rezy Pahlevi.

Wstrząśnięte wojną i rewolucyjnymi zmianami wewnątrz państwa perskie potrzebowało uzdrowienia swych finansów. Rząd szacha Rezy powołał wówczas licznych ekspertów zagranicznych dla różnych dziedzin życia państwowego. W dziedzinie skarbu wybór padł na stosunkowo młodego Amerykanina, Millsaugh. Millsaugh przebywał w Iranie parę lat i wywiązał się ze swego zadania znakomicie, oddając wielkie usługi odradzającemu się państwu. Były to czasy pokoju i miał on do rozwiązania normalne problemy, wynikające z administracji finansowej organizmu państwowego. Po wykonaniu swej misji powrócił do Ameryki.

Druga wojna światowa i wypadki wojenno-polityczne, jakich widownią stał się Iran od r. 1941, zburzyły i powaliły w krótkim czasie wiele rzeczy, budowanych poprzednio z wielkim nakładem trudu i mokołu. Przede wszystkim ofiarą padły finanse państwowe. Chcąc ratować kraj od bankructwa, rząd irański postanowił wezwać ponownie dra Millsaugh. Wyraził on zgodę i wkrótce potem przybył do Iranu. Zorientowawszy się jednak w zabagnionej sytuacji, postawił od razu warunki, od których spełnienia miało zależeć powodzenie jego misji. Warunki te, zawierające udzielenie mu szerokich pełnomocnictw, zostały wykonane. Miał zatem otwartą drogę do przeprowadzenia reform.

Jak wyglądały te reformy i czy przyniosły Iranowi spodziewane polepszenie?

Przed drem Millsaugh stanęły trzy niecierpiące zwłoki zadania: a) zrównoważyć deficytowy budżet, b) zahamować katastrofalną w tym czasie cen, c) zapewnić ludności irańskiej skuteczny rozdział dóbr konsumpcyjnych, w szczególności zaś środków żywności, skoro niektóre tereny dotknięte zostały plagą głodu.

Trudności były olbrzymie. Należało więc działać radykalnie, by nie dopuścić do katastrofy. Akcja jednak była znacznie utrudniona tym, iż w braku własnego, zaufanego personelu w pierwszych miesiącach swego pobytu w Iranie Millsaugh musiał polegać na miejscowym aparacie urzędniczym i policyjnym, słabo wykwalifikowanym i zdemoralizowanym niskimi płacami przy rosnących cenach.

Mimo to udało mu się jednak zrealizować w stosunkowo niedługim czasie dwie z wymienionych pilnych reform: uzdrowienie budżetu i zapewnienie ludności żywności. O ile pierwsza reforma była w zasadzie sprawą pewnej rutyny dla finansisty, o tyle druga obfitowała w momenty dramatyczne. Zimą r. 1942-43 liczne były wypadki w Iranie śmierci głodowej, a na ulicach Teheranu nieraz można było widać ludzi, leżących na bruku i wijących się w ostatnich konwulsjach. Teherański silos był prawie że na wyczerpaniu i zgórą półmilionowej ludności stolicy groziła katastrofa głodowa. W grudniu 1942 r., t. zn. w momencie przybycia Millsaugh, wybuchły rozruchy, podsypane przez elementy wyrotowe. W tym niebezpiecznym momencie pomoc dorazna przyszła z nieoczekiwanej strony: od Polaków. Władze polskie w Iranie posiadały bowiem skład mąki dla przybywających z Rosji uchodźców. W sylwestrowy wieczór 1942 r. ówczesny premier, Ghasem Sal-

taneh, zwrócił się do posta Rzeczypospolitej nagłą telefoniczną prośbą o odstąpienie pewnego zapasu mąki dla ludności Teheranu, dla przetrwania przynajmniej jednego tygodnia, póki nie przyjdzie pomoc skądinąd. Prośbie tej poseł uczynił zadość, co zostało natychmiast zatwierdzone przez rząd polski. Była to jednak pomoc doraźna i należało działać szybko, by zapobiec nowym komplikacjom. Pierwszy krok zrobiły władze brytyjskie, przydzielając Iranowi 25.000 ton zboża i ofiarując bezpłatny transport znacznej części tego przydziału wojskowymi ciężarówkami. Przydziału dokonano w ramach regulacji towarowej Middle East Supply Centre; był on namacalnym dowodem aktywnej interwencji dra Millsaugh. Ludność Iranu uznała to za fakt sam przez się zrozumiały, nie manifestując zbyt wielkiej wdzięczności ani Anglikom, ani amerykańskiemu finansistom. Pewne opóźnienie w nadejściu obiecanego zboża, wynikłe z trudności techniczno-transportowych, spowodowało nawet dość nieprzyjemny ton prasy w stosunku do władz brytyjskich. Charakterystyczne dla ogólnej sytuacji w Iranie jest to, że wkrótce potem ambasada sowiecka zaoferowała rządowi irańskiemu także 25.000 ton zboża, jako dar rządu ZSRR, co większość gazet powitała entuzjastycznie i z wyrazami głębokiej wdzięczności. Te przydziały zboża z zewnątrz nie rozwiązywały jednak jeszcze ciężkiej sytuacji żywnościowej kraju. Dr Millsaugh musiał, po zapewnieniu tej pierwszej pomocy, zorganizować właściwy dowódz w prowincji, produkujących je w nadmiarze, do prowincji i miast, pozbawionych produkcji i zapasów. Tutaj natknął się on na pierwsze, ale i zasadnicze trudności wewnętrzne. Polegały one przede wszystkim na tym, iż należało sprawę załatwić z wielkimi właścicielami ziemskimi, którzy gromadzili spore ilości zboża w celach spekulacyjnych i pomimo ustawowych uprawnień dra Millsaugh do przymusowego wykupu nadmiaru zboża przez rząd, bynajmniej nie byli skłonni bez oporu zastosować się do ustawy. W Iranie, gdzie jeszcze dotychczas całe nieraz prowincje są w faktycznym władaniu koczowniczych plemion lub feudalnych właścicieli latyfundiów, przeprowadzenie takiego projektu nie mogło pójść gładko. Skorumpowana policja i funkcjonariusze spekulacyjnie utworzonego urzędu do walki ze spekulacją — to były te niedoskonałe organy, którymi Millsaugh musiał się posługiwać. Po pokonaniu pierwszej trudności —

z oporu ziemian — Millsaugh stanął wobec problemu transportu zboża do większych centrów, gdzie pobudowano śpichlerze i składy. Iran nie obfituje ani w drogi, ani w środki lokomocji, przy tym w czasie wojny pierwszeństwo ma wojskowy tranzyt do Rosji. Dla właścicieli ciężarówek nastała nadszyczna koniunktura i ceny transportu niepomiernie wzrosły. W momencie przybycia dra Millsaugh do Iranu panował w dziedzinie transportowej niesłychany chaos, któremu trzeba było położyć kres jak najrychlej. Dr Millsaugh utworzył specjalny urząd transportowy, poddał wszystkie wehikuły w Iranie surowej kontroli i doprowadził do tego, iż zamierzony cel: dowóz zboża z prowincji „łustych“ do „chudych“, został zorganizowany i puste dotąd śpichlerze zapełniono. Nie brakło przy tym trudności ubocznych, jednak bardzo istotnych, jak np. fakt podziału Iranu na trzy strefy okupacyjne: sowiecką, brytyjską i neutralną, z tym, iż prowincje najżyźniejsze znalazły się pod okupacją ZSRR, kraju, który sam znalazł się na skutek wojny w kolosalnych kłopotach aprowozacyjnych. Trudności te dały się np. wyczuć w pierwszej misji pomocnika dra Millsaugh, Viviana, do Azerbejdżanu i prowincji północnych.

Ostateczne powodzenie akcji żywnościowej zależało jednak od właściwego rozdziału posiadanych zapasów wśród ludności. Powstała zatem konieczność racjonowania na kartki, co przy braku miarodajnych statystyk i zaufanego aparatu administracyjnego było niełatwym problemem. Trudność ta została po pewnym czasie także pokonana i już w połowie r. 1943 można było stwierdzić, że aprowozacja Iranu funkcjonuje mniej więcej prawidłowo.

W trakcie dokonywania tych reform, przybywali stopniowo z Ameryki nowi współpracownicy dra Millsaugh i usprawniali różne działy administracji. Normalnym objawem przy angażowaniu tych ekspertów był fakt, iż ten czy inny dział administracji, potrzebny drowi Millsaugh do wykonania pewnych zadań, nie był zdolny do pracy i wymagał sprężystego i fachowego kierownictwa eksperta zza oceanu. W ten sposób wiele departamentów państwowych, nawet bezpośrednio nie związanych ze skarbem, uzyskało nowych kierowników: policja, gdzie zaangażowano generalnego dyrektora, Timmermanna, żandarmeria, którą dziś kieruje amerykańska misja płk. Schwarzkopfa, etc. Jeżeli do tego

dodać, że armia irańska jest reformowana i szkolona także przez misję amerykańską, dowodzoną przez gen. Ridley'a, to widzi się, że większość ważnych działów administracji państwowej Iranu jest bądź bezpośrednio zarządzana, bądź kontrolowana przez Amerykanów. Amerykanie zajmują jednak jedynie stanowiska wyższe i często nie mają możliwości dotarcia do niższych organów. Stąd też kontrola misji ekonomicznej dra Millsaugh nad życiem gospodarczym Iranu jest tylko połowiczna. W tym właśnie fakcie należy upatrywać przyczyny niepowodzenia dra Millsaugh w trzeciej zamierzonej reformie: stabilizacji cen. Nawet w krajach o tak wspaniałej dyscyplinie obywatelskiej, jak Anglia lub Stany Zjednoczone, mamy do czynienia z wojenną zwykłą cen, sięgającą 20—25 procent. Dla krajów Wschodu pojęcie dyscypliny jest dość obce, to też wskaźnik kosztów utrzymania podniósł się w Iranie od początku wojny ze 100 do 1200, wskaźniki cen niektórych artykułów importowanych poszły jeszcze wyżej. W swym dążeniu do zahamowania wzrostu cen Millsaugh napotkał na dwa opory: nieudolność miejscowego aparatu urzędniczego i sabotowanie zarządzeń przez spekulantów. Oba opory były do przewidzenia, jednak opór drugi przeszedł wszelkie oczekiwania i doprowadził do kryzysu, który o mało nie spowodował wyjazdu misji amerykańskiej z Iranu.

Gdyby zastosować normalny tryb zwalczania zwykłej cen, należałoby dysponować odpowiednim sztabem inspektorów, którzy w wypadku zauważonych nadużyć meldowaliby o nich władzom, tak że osoby winne byłyby pociągane do odpowiedzialności. Millsaugh przekonał się jednak wkrótce o niewykonalności takiego planu w miejscowych warunkach. Chcąc zatem zaradzić złu, musiał się uciec do innych sposobów: zastosować mianowicie na szeroką skalę reglamentację towarową, wprowadzając na szereg artykułów monopolu rządowy. Został utworzony monopol zbożowy, monopol ryżu, bawełny, transportu i inne. Utworzono także centralne magazyny rządowe dla rozprzedaży monopolizowanych artykułów. Choć system ten daleki był od ideału i tylko w nieznacznie mierze zmniejszał tempo stale posuwającej się zwykłej cen, dał się on jednak wielu spekulantom mocno we znaki. Zaczęto atakować dra Millsaugh za hamowanie inicjatywy prywatnej, za dyktatorskie poczynania w wolnym kraju, za rujnowanie prosperujących przedsiębiorstw, wytykając mu jednocześnie, że właściwie nie zdołał zahamować zwykłej cen. Kampania ta, rozpoczęta najpierw wśród kupców na bazarze teherańskim, przeniosła się następnie na łamy prasy i do parlamentu. Prasa irańska, twór nowy i niedoświadczony, poczęła masowo zamieszczać ostre, a niejednokrotnie wysoce obelżywe artykuły przeciwko misji amerykańskiej. Niektóre dzienniki zarzucały drowi Millsaugh kłopoty na zgubę Persów, inne zarzucały mu niedoświadczenie, inne jeszcze atakowały poszczególnych członków jego misji, zarzucając im niesłychane wykroczenia, łapownictwo etc. Jednocześnie w parlamencie pojawiły się interpelacje, żądające ograniczenia uprawnień dra Millsaugh. Kryzys doszedł do szczytu w momencie, gdy rząd, czy to pod naciskiem opinii, czy to pod presją pewnych kół zainteresowanych, zadeklarował chęć złożenia w parlamencie wniosku ustawy o ograniczeniu pełnomocnictw dra Millsaugh. Wtedy to dr Millsaugh ogłosił list otwarty do premiera, stawiając ultimatum: albo jego pełnomocnictwa zostaną utrzymane, gdyż to jedynie gwarantuje pełne wykonanie zamierzonych reform, albo też podaje się on wraz z całym swym sztabem do dymisji. Spowodowało to replikę premiera, również ogłoszoną w gazetach, jednak utrzymaną w tonie pojednawczym. Sprawa znalazła się przed parlamentem, który po wysłuchaniu osobistego sprawozdania dra Millsaugh zdecydował się przedłużyć pełnomocnictwa o trzy do czterech miesięcy. Termin ten został zaproponowany przez samego Millsaugh, który oświadczył, że jeszcze tyle czasu potrzeba mu, by doprowadzić do końca zaprojektowane reformy.

Tak więc formalnie sprawa została załatwiona po myśli misji amerykańskiej, jednak nie znaczy to, by atmosfera została całkowicie oczyszczona. W każdym bądź razie prasa ostro krytykuje dra Millsaugh, przenosząc powoli ciężar swych zarzutów z momentów czysto ekonomicznych na momenty narodowoprestizowe. Ten stan rzeczy doprowadza do tego, iż niepopularność misji amerykańskiej rozszerza się z kół reakcyjnych, niezadowolonych z jej poczynani, na szersze koła nawet uboższej inteligencji, która zaczyna brać do serca momenty uboczne, zapominając o tym, iż reformy misji znacznie przyczyniają się do ulżenia jej losu. Najbliższe miesiące będą miesiącami próby. Próby być może nie tylko stosunku Iranu do Millsaugh, lecz także ogólnych stosunków między Iranem a Stanami Zjednoczonymi.

KRONIKA POLSKA

— W wydawanej w Jerozolimie pod redakcją dra Ł. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczce na Wschodzie“ ukazały się ostatnio następujące tomy: t. 38 — „Nowela pozytywistyczna“ w opracowaniu Zofii Grzybowskiej (obszerny, liczący zgórą 400 stron, tom przynosi poza wstępem wydawniczym nowelę Dygasińskiego, Orzeszkowej, Konopnickiej, Prusa, Junoszy, Szymańskiego i Żeromskiego oraz w „Dodatkach“ pięć artykułów Świętochowskiego z „Prawdy“ i artykuł J. Nusbaum); t. 42 — Orzeszkowej „Cham“; t. 45 — Edmunda Amicisa „Serce“; t. 46 — Stanisława Wasylewskiego „Lwów“ (tom, ilustrowany zgórą dwustu zdjęciami); t. 47 — Bolesława Prusa „Anielka“; t. 49 — Bolesława Prusa „Grzechy dzieciństwa“; t. 50 — Słowackiego „Podróż na Wschód“ w opracowaniu Łukasza Kurdybachy (poza obszernym wstępem wydawcy i „Podróż na Wschód“ tom ten przynosi jeszcze „Smutno mi, Boże“, poetyckie „Listy ze Wschodu“, „Wschodnie utwory liryczne“, „Ojca zadumionego“ oraz sześć „Listów do matki“); t. 53 — „Pamiętniki“ Paska w opracowaniu Jana Czubka (pełny tekst, przedruk z wydania Ossolineum z r. 1923) i t. 54 — Maurycego Mochnackiego „Wybór pism“ w opracowaniu Stanisława Krzemińskiego (przedruk z t. IV „Stu lat myśli polskiej“).

— „Rój“ w Nowym Jorku zapowiada na koniec b. r. wydanie następujących książek w języku angielskim: Ksawerego Pruszyńskiego „Poland Fights Back“ (nowe wydanie książki, ogłoszonej już raz w Londynie, z 30 ilustracjami Hugona Steinera-Praga oraz z fotografiami), Kazimierza Wierzyńskiego „The Forgotten Battlefields“, tom nowel, ilustrowanych przez Zdzisława Czermańskiego, Bronisława Malinowskiego „Freedom and Civilization“, Wacława Lednickiego „Life and Culture of Poland“, niemieckiego pisarza emigracyjnego Hermana Kestena „Copernicus and His World“, Ireny Piotrowskiej „Journeying through Polish Art“ (książka ma zawierać około 400 plansz), Aleksandra Janty „I Lived a Lie“ oraz drugie wydanie „A History of Poland“ Oskara Haleckiego. Z książek dla dzieci ukazały się ostatnio Janiny Porazińskiej w przekładzie Łucji Mareckiej-Borskiej i z ilustracjami Stanisława Bebińskiego, „My Village“ oraz „In Voytus Little House“, Josephine Bernhard „Lullaby. Why the Pussy-Cat Washes Himself So Often“, z ilustracjami Ireny Lorentowicz, oraz zapowiedziano ilustrowane wydanie Janusza Korczaka „King Mathew I“.

— Jako odbitka z kwietniowego zeszytu nowojorskiego „Quarterly Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences“ ukazało się studium dr Ireny Piotrowskiej „American and Polish Primitive Painting — Some Comparisons“.

— „American Federation for Polish Jews“ w Nowym Jorku wydała broszurę Jakuba Apenszla-

ka i Mosze Polakiewicza „Armed Resistance of the Jews in Poland“. Przedmowa poprzedzi ją dr Józef Tenenbaum.

— Nakładem Wydawnictwa „The Hebrew University Press Association“ w Jerozolimie ukazały się w osobnej broszurze teksty hebrajskich odczytów prof. M. Bubera i doc. Samursky'ego „Nicolas Copernicus 1473—1543“, wygłoszonych w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie dn. 26 maja 1943 r. na obchodzie, poświęconym czterechsetnej rocznicy kopernikańskiej. Broszurę zdobi portret Kopernika i reprodukcja jednej ze stron „De Revolutionibus“.

— Kairski tygodnik „La Marseillaise“ w numerze dn. 16 września b. r. przedrukował z nr 17 (85) „W Drodze“ artykuł Bohdana Łączkowskiego „Warszawa“.

— Nakładem Wydawnictwa „Polish Publications Committee“ ukazała się w Liverpoolu książka Bernarda Newmana, autora „The Story of Poland“, p. t. „The Face of Poland“. Książkę zdobią liczne ilustracje oraz mapa Polski.

— W sierpniowym zeszycie z b. r. londyński „The National Review“ przynosi recenzję z angielskiego przekładu „Krzyżaków“.

— Federacja Żydów Polskich w Wielkiej Brytanii wydała w Londynie broszurę „Remember the Warsaw Ghetto“.

— „The Royal Institute of International Affairs“ w Londynie (t. zw. „Chatham House“) wydał książkę p. t. „Agrarian Problems from the Baltic to the Aegean. Discussion of a Peasant Programme“. Jeśli idzie o sprawy polskie, opiera się ona o referaty, przedłożone Instytutowi w r. 1942 przez Stanisława Mikołajczyka i W. Z. Kułerskiego. Książkę poświęcimy w najbliższym czasie bliższe omówienie.

Nowość! Nowość!
Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“
ukazała się
BOLESŁAWA PRUSA
LALKA
Tomy I i II
(tomy III i IV w druku)
Cena każdego tomu 150 milsów.

MARIAN GORECKI

OBRAZKI AMERYKAŃSKIE

Pełne zatrudnienie i wyżywienie

Wszystkie dzienniki w USA są przepełnione ogłoszeniami o poszukiwaniu pracowników. Udzielane są ulgowe i uprzywilejowane warunki, ofiarowana jest praca nawet dla starców i ułomnych, gdyż przedsiębiorcy nie mogą w ogóle marzyć o zwerbowaniu ludzi silnych i zdrowych. Obliczają, że w czasie wojny około 8 milionów mężczyzn i kobiet przywędrowało ze wsi i miasteczek do ośrodków przemysłowych, aby zastąpić te kilkanaście milionów, które są wojsku.

Życie społeczeństwa cywilnego w USA płynie więc obecnie jak w pracowitym mrowisku. Mrowki-rycerze wyruszyły na wyprawę wojenną. Mrowisko żyje w spokoju, zakłócanym tylko od czasu do czasu przez groźbę strajku, gdy mrowki-robotnice w poczuciu swej niezbędności i nieusuwalności (skądże wziąć łamistraszków?) stawiają żądanie podwyżki płacy. Ostatnio takie zamiary walki o lepszy byt objawiło w Detroit skupisko, liczące milion robotników. Sprawy te jednak nie przybierają ostrzejszego charakteru, gdyż funkcjonują wszędzie komitety przemysłowe z udziałem przedstawicieli organizacji robotniczych. Przywódcy zarówno Federacji Pracy, jak Kongresu Organizacji Przemysłowych, są obecnie wysokimi dygnitarzami w Urzędzie Produkcji Wojennej (W.P.B.) oraz w zarządach poszczególnych wielkich wytwórni i w tych warunkach nie może być mowy o buntowniczych, a tym bardziej anarchicznych wystąpieniach dotów robotniczych. Ostatnio zarówno organizacje robotnicze, jak wielki przemysł na tle walki o formułę płac zgodnie przeciwstawiają się ingerencji rządu w regulowanie stosunków pracy.

Tym bardziej zaś cicho w mrowisku, że każdy bez wyjątku w USA ma dość wyżywienia. Wystarczy powiedzieć, że bodaj nikt nie jada teraz gorzej niż w wojsku, a jak jest odżywiany żołnierz amerykański, to wszyscy wiemy. Stany Zjednoczone stały się krajem, płynącym krwią i mlekiem. Oczywiście krwią zwierzęcą. Wybitny znawca, H. D. Cooley, stwierdza, że zużycie mleka na rodzinę wzrosło z 99 na 465 galonów rocznie.

Pomimo że do wojska i do przemysłu wojennego ubyło z roli około 10 milionów ludności, to jednak wytwórczość rolnicza w stosunku do przedwojennej wzrosła się o 70%. Bez jakiegokolwiek obniżania wewnętrznego spożycia USA zaopatruje nie tylko swą armię za oceanami, lecz dostarcza także żywność dla Rosji, Chin a nawet Wielkiej Brytanii. To zjawisko dla laików stanowi jedną z wielkich niespodzianek tej wojny. Wy tłumaczyć je można ulepszeniem metodami uprawy i mechanizacją, a ponad to niebywałym postępem w zakresie przemysłu żywnościowego: odkryciami biochemicznymi, rozpowszechnieniem dehydratacji roślin i nabiału i t. d. Ale takie wyjaśnienia nie trafiają jeszcze w sedno. Po prostu Ameryka jest ciągle jeszcze obszarem słabo zaludnionym i przed wojną nie wykazywała możliwości, będących darem przestrzeni i gleby. Ograniczała swe rolnictwo, aby nie spowodować zniżki cen przez nadmierne podaż, w czasie wojny natomiast użyto wszelkich środków, aby rolnictwo osiągnęło większą wydajność. Np. w 1943 r. udzielono dla 915 tysięcy średnich gospodarstw kredytu w wysokości 778 milionów dolarów na zakup narzędzi i nasion. Ameryka ze swymi 130 milionami ludności nie straciła możliwości służeń za śpichlerz Europy, tak jak była nim, gdy liczyła tylko kilkanaście milionów własnych żołtadków. Zanim Ameryka dojdzie do tego zżegżenia ludności, jak Europa, Indie i niektóre dzielnice Chin, a choćby polskie ziemie wschodnie, może ona sobie pozwolić na wiele jeszcze lat swobody emigracyjnej, którą tak zazdrośnie skasowała. Drugi zaś stąd wniosek, że w obecnych warunkach zatrudnienia długie jeszcze lata Ameryka może być światowym regulatorem cen rolniczych i dlatego biada każdemu krajowi na kuli ziemskiej, który by nastawił się na gospodarkę rolniczą, jeśli dyktator amerykański zechce go zdławić przez nagłe zmniejszenie swej produkcji rolniczej, a znowu biada krajom, skazanym na import żywności, jeśli by Ameryka zechciała je wygodzić.

Pełna energia

Na posiedzeniu naukowego towarzystwa chemicznego w USA ujawniono, że nowy materiał pędny — triptan, jest już wytwarzany dla celów technicznych przez General Motors. Triptan jest czterokrotnie silniejszy od stołtanowej benzyny. Jakże stąd będą wyniki dla majestatu królestwa ropy, trudno jeszcze określić.

W każdym razie obliczanie ilości ludzi, zatrudnionych w przemyśle, przestało nawet przed wprowadzeniem triptanu dawać istotny obraz możliwości wytwórczych. Konieczne jest bowiem uwzględnienie statystyki sił mechanicznych, których źródłem jest dziś głównie energia elektryczna. Pod tym względem postęp, osiągnięty wśród wojny w Ameryce, jest niezwykły. Narazie dopóki główna część tej energii jest zużytkowywana w przemyśle wojennym, dopóki owoce tego trudu są spożywane głównie przez Niemców i Japończyków

w postaci śmiercionośnych narzędzi, dotąd społeczeństwo amerykańskie nie odczuwa całej wagi osiągnięć elektryfikacyjnych i nie przeżywa skutków, jakie one przyniosą. Niewiele tylko ludzi, a wśród nich przede wszystkim inżynier Krug, który przed wojną był twórcą systemu elektrowni w dolinie Tennessee, a w czasie wojny został szefem Federalnego Urzędu Elektryfikacyjnego, zdaje sobie w pełni sprawę, jak potężne narzędzie zmian w stosunkach pracy i produkcji kryje niezrozumiała dla laików sieć przewodów elektrycznych, omotująca całe Stany coraz gęściejszą pajęczyną. Ten inżynier Krug został świeżo szefem Urzędu Produkcji Wojennej, tego urzędu, o którym koła waszyngtońskie, zbliżone do Białego Domu, twierdzą, że będzie musiał pracować przez szereg lat w czasie pokoju.

Jeśli policzyć ilości samolotów, czołgów, armat i wszelkiego dobytku, którego jedynym przeznaczeniem jest być użytym na wojnie, a następnie przemienić ilości energii i surowca, spotrzebowanych na ten cel, na ich równoważniki w dobytku, służącym celom pokoju, to okaże się, że przed wyobraźnią ludzką staje zadanie, na razie trudne do wykonania.

Kwatermistrzowie wojenni z całą naturalnością umieją stawiać najbardziej rozrzucone i bytkowne żądania, zmuszające przemysł i rolnictwo do natężenia energii. Okres pokoju nie zna takich kwatermistrzów. Dla żołnierza kwatermistrz zapotrzebowuje piękne ubranie, śliczny namiot, doskonałe narzędzia pracy — karabin, świetne wyżywienie, środki przewozowe, radioaparaty i tysiące innych rzeczy, które w warunkach polowych zużywają się szybko, powodując ponowne równie natężone zapotrzebowanie. Weźmy dla przykładu choćby sprawę gumy. Przed wojną do USA importowano 550 tysięcy ton kauczuku naturalnego. W 1944 r. produkcja kauczuku syntetycznego w USA osiągnęła 836 tysięcy ton. Społeczeństwo cywilne zużywa dziś mniej opon niż przed wojną. Odbiorcą głównym jest wojsko. Pełną energię umiemy, jak dotąd, spożytkowywać tylko dla celów wojny. A co będzie, kiedy wojna się skończy?

Fachowcy obliczają, że w r. 1947 w USA trzeba by produkować np. 5 milionów samochodów rocznie, przy czym żaden nie powinien być używany dłużej jak trzy lata pod groźbą zakorkowania rynku.

Pesymiści twierdzą więc, że w parę lat po wojnie w USA będzie co najmniej 15 milionów bezrobotnych. Nikt z polityków nie pokusił się o praktyczne rozwiązanie problemu, biorąc pod uwagę jego trzy podstawowe elementy:

1. źródła energii mechanicznej, które mają tendencję nieograniczonego wzrostu,
2. zasób żywności, który przy nowych metodach przemysłu żywnościowego jest również nieograniczony,

Sierpniowy zeszyt londyńskiej „Nowej Polski” przynosi artykuł Mieczysława Pruszyńskiego o „Sprawie polskiej w Ameryce”. Czytamy w nim: „Polonia oraz katolicy w Stanach to są czyniki, które w sporze polsko-sowieckim opowiadają się bezwzględnie po stronie polskiej. Ideowi komuniści i zdecydowani sympatycy Rosji opowiadają się po stronie rosyjskiej. Polonia oraz pozostali katolicy w Stanach liczą około 22 milionów głów. Obóz zdecydowanie prorosyjski i prokomunistyczny obliczyć można z grubsza na 10 milionów głów. Ponieważ należy doń wielu wpływowych urzędników, przeto można na ogół powiedzieć, że siły bezwzględnie propolskie i bezwzględnie prorosyjskie na terenie Stanów Zjednoczonych na ogół się równoważą. Podobnie równoważą się sentymenty propolskie i prorosyjskie wśród szerokiego warstw ludności Stanów. Za kim więc opowie się ostatecznie opinia, a zatem i rząd Stanów w sporze polsko-rosyjskim?

Nie mogą oprzeć się wrażeniu, że o przechyleniu szali zadecydują pozostałe czynniki, a mianowicie: 1) masoni, 2) lewica polityczna, 3) wielki business, 4) Amerykanie pochodzenia żydowskiego.

W Waszyngtonie najwspanialsze budynki po Kapitolu i Białym Domu — to loże masońskie. Nic dziwnego — od 150 lat elita inteligencji amerykańskiej zwykła grupować się w lożach. Przy wyborach prezydenckich związek 10% zgłasza zwykle desinteressement: tradycyjnie obaj konkandydaci bywają masonami. Tak było przy wyborach Roosevelt-Willkie, tak będzie przy wyborach najbliższych. Amerykańska ideologia masońska jako program polityczny wysuwa jawnie: rządy z wyboru obywateli, humanitaryzm, szanowanie praw człowieka, wolność krytyki rządzących przez rządzących, legalizm. Realizując ten program, rządzący w ostatnich stu latach tak Kanadą jak Stanami, masoni twierdzą, że zapewnili tym krajom rozwój, szczęście, dobrobyt. Masoni nienawidzą: tyranów, dyktatorów, rewolucji, zamachów stanu, rządów wojskowych, prześladowań opozycji politycznej, mniejszości religijnych i narodowych, obozów koncentracyjnych. Dlatego masoneria amerykańska zwalczała regimie hitlerowski i sowiecki.

Dziś obok Kościoła katolickiego masoneria jest najpotężniejszą siłą ideową, która na terenie Ameryki gra przeciwko Rosji sowieckiej. W konflikcie polsko-rosyjskim masoneria opowiada się i opowie się za Polską, nie za Rosją, ale pod warunkiem, że Polska zerwie kategorycznie z przeszłością: z systemem rządów wojskowych, Brześcia, Berezy, zamachów stanu. Za Polskę taką,

wego jest również nieograniczony.

3. naturę ludzką, która nie może obejść się bez jakiegoś zajęcia.

Z tych przesłanek, jeśli nie będziemy sztucznie ograniczać a) energii mechanicznej, b) obszarów uprawnych, które to metody, niestety, już częstokroć gupota ludzka stosowała, wspierana przez pobudki egoistyczne, — niezbicie wynika wniosek, że dla żadnego człowieka w USA, jeśli rozdzielić ilość pracy w sposób równomierny, nie znajdzie się zajęcia więcej niż na 3—4 godziny dziennie, bez względu na to czy pracuje umysłowo, czy fizycznie. Innymi słowy, zamiast istnienia milionów bezrobotnych obok ludzi pracujących w pocie czoła, będzie kiedyś musiał nastąpić taki podział pracy, przy którym wszyscy będą mogli rozporządzać długimi czasami.

Tym, co nie dowierza, aby istniała możliwość nadejścia trzygodzinnego dnia pracy, trzeba przypomnieć, że już przed wojną w Stanach Zjednoczonych w wielu zawodach obowiązywał pięciogodzinny dzień pracy, a mimo to rości rzesze bezrobotnych.

Niebezpieczeństwo czasów

Niestety, USA, które materialnie i technicznie osiągnęły taki poziom dobrobytu, jak patrycyjaty rzymski z okresu przed upadkiem Rzymu, — tylko że zamiast wyręczenia się niewolnikami Amerykanie mają w służbie przeważnie maszyny, — nie wytworzyły współmiernych zasobów kultury.

„Twierdząc, że nasza demokracja w Nowym Świecie, stanowiącą wprawdzie wielkie osiągnięcie, — zarówno przez wyciągnięcie mas ku materialnemu dobrobytowi, jak również przez pewien poziom życia intelektualnego, zresztą powierzchownego i dość mętnego, — stanowi mimo wszystko aż dotąd porażkę prawie całkowitą w zakresie życia społecznego i wyników, jakie dała w dziedzinie religii, moralności, literatury i sztuki. Na próżno idziemy z zawrotną szybkością ku stworzeniu imperium bardziej kolosalnego niż wszystko, co znała starożytność, większego niż imperium Aleksandra, większego niż potęga Rzymu. Jesteśmy obdarzeni olbrzymim ciałem, które udoskonala się coraz bardziej, lecz zostajemy ciągle tylko z odrobina ducha lub zupełnie bez duszy”. Tak pisał kilkadziesiąt lat temu Walt Whitman i słowa jego brzmią zupełnie współcześnie.

Amerykańska kultura jest ciągle jeszcze w procesie kształtowania i pozostaje daleko w tyle za amerykańską techniką. Kultura nie potrafi więc zapewnić tych czasów, jakich możność dostarcza technika. Po tamtej wojnie był również okres prosperity, jakkolwiek o rozmiarach bez porównania mniejszych, niż potencjalnie współcześnie istnieje. Cóż powstało na marginesie tamtej prosperity? Jak sobie Amerykanin czas zapewnić? Dreiser,

Upton Sinclair, Sinclair Lewis dali dość wymowne obrazy czasów amerykańskich. Dodajmy jeszcze „Kisiele gniewu” („Grapes of Wrath” w polskim przekładzie nabierają podwójnego sensu) Steinbecka. Dodajmy jeszcze, że Ameryka, jak widzieliśmy w „Wędrownikach Sullivana”, potrafi brzęk swoich kajdan nie tylko złotych, ale i żelaznych, przegłuszać koszmarnym śmiechem.

Aldous Huxley, który od kilku lat aklimatyzował się w Stanach Zjednoczonych, w swej najnowszej powieści „Czas musi się zatrzymać” twierdzi, że „nieodczuwalnym warunkiem pokoju” jest, „ażeby przez postuch wieczności osiągnąć podstawowy warunek dla odwrócenia naszego życia od bezcelowości lub diabolicznego szaleństwa”.

Czy jednak Amerykanie myślą o wieczności? W USA jest 256 obrządków religijnych, które razem liczą 55.870.306 członków czynnych. W tym jest

	1936	1926
katolików	— 19.114 tys.	18.605 tys.
baptystów	— 8.262 „	8.440 „
metodystów	— 7.001 „	8.070 „
żydów	— 4.640 „	4.081 „
luteranów	— 4.200 „	3.960 „

pozostałe 12.655 tys. wierzących rozpada się na 251 obrządków, liczących od paru set do miliona członków. Wynika stąd, że 75 milionów obywateli amerykańskich nie przynależy czynnie do żadnego obrządku, a więc że 59% obywateli USA odnosi się do zagadnień religijnych indifferently. Rozlegający się z ustnionia kalifornijskiego głos Aldousa Huxleya nie łatwo więc, jak widzimy, znaleźć może echo w Stanach Zjednoczonych.

Dzisiaj republikanie, prowadząc kampanię wyborczą przeciw Rooseveltowi, twierdzą, że partia demokratyczna, nie mogąc sobie dać rady ze stosunkami społecznymi, sama spowodowała wojnę, aby wyprowadzić przez to z kraju bezrobotnych, a nie umiejących w czasach korzystających współobywateli. Nas obchodzi tu pytanie, czy ze swej strony republikanie rzeczywiście mają jakieś inne rozwiązanie dla tego podstawowego problemu społecznego, jakim jest organizacja czasów.

Walka przedwyborcza

Poczynając od samych nazw, obie partie amerykańskie przynoszą mnóstwo nieporozumień. Demokraci są przecież także republikanami, zaś partia republikańska jest znowu demokratyczną w tym samym co najmniej stopniu, jak partia demokratyczna. Obie partie ułożyły swe „platformy wyborcze”. Trzeba być sofistyką, ażeby wdawać się na podstawie tych deklaracji w rozróżnienia programów partyjnych. Mowy przedwyborcze także nie dają podstaw orientacyjnych. Wzajemne licytowanie się w obietnicach dochodzi do kompletnego bałamuctwa. Slogan zwolenników F.D.R. brzmi: nie można zmieniać koni w środku strumienia. Na co zwolennicy Deweya odpowiadają, że właśnie trzeba zmienić konia, bo stary nie wyciągnie z potoku wojennego, w który sam się pogryzą. Powszeczeńnie oceniają, że o wyniku wyborów rozstrzygnie minimalna większość. Mówi się, że 45 milionów głosów, zgromadzonych przez Roosevelta, zapewni mu wybór, zaś przy 42 milionach może już przegrać. Prawdopodobnie jest, że rozstrzygną dopiero głosy wojska zza oceanu, które, według świeżej noweli, w pewnych wypadkach mogą być złożone nie, jak dotąd bywało, w swoich Stanach, lecz w drodze specjalnej, bezpośrednio federalnej. Przypuszczać można, że ta nowela, którą objęte być może do 4.300 tys. głosów, rozstrzygnie na rzecz czwartej kadencji, choć nie należy zapominać, że miliony żołnierzy są pod rozkazami republikanina MacArthura.

W tej chwili nie to jest ważne, czy Białe Dom zmieni gospodarza, ale to, że nikt nie wie, kto będzie tym gospodarzem, poczynając od marca 1945 r., oraz to, że ktokolwiek nim zostanie, będzie musiał liczyć się z faktem, że został obrany przez znikomą większość, t. zn. innymi słowy, że połowa narodu nie głosowała na niego. Takie okoliczności dojdą do władzy czy utrzymania się przy niej nie zezwolą przyszłemu prezydentowi, ktokolwiek nim będzie, na pominięcie opozycji. Być może, że sankcjonowanie władzy przeniesie się na ławy Kongresu i że to niewiele obecnie znaczące ciało rozpocznie grać rolę niemal taką, jak parlament francuski. Może także przyszły prezydent, wybrany niemal przypadkiem, podzieli los Wilsona. A może będzie swój wybór zawdzięczał tylko tajnym pactom conventum, spisany z tymi, którzy dostarczyli setek milionów na kampanię wyborczą. Bo przecież wiadomo, jak kosztowną imprezą jest ta kampania. Pod tym względem można śmiało przypuszczać, że Dewey musi podpisywać uciążliwsze zobowiązania, niż Roosevelt, bo ten ma za sobą aparat rządowy i stąd większą niezależność. Poza tym powszechnie wiadomo, że tak potężna instytucja, jak General Motors, jest całkowicie związana z Rooseveltem. Jako osobliwość amerykańskiej kampanii wyborczej warto zresztą podkreślić, że wiele instytucji dla zabezpieczenia się na wszelki wypadek przeznaczają pokaźne fundusze jednocześnie dla obu obozów.

Nie można przypuszczać, ażeby wynik wyborów mógł przynieść istotne zmiany dla stosunków społecznych w USA.

Sprawa polska w USA

Sierpniowy zeszyt londyńskiej „Nowej Polski” przynosi artykuł Mieczysława Pruszyńskiego o „Sprawie polskiej w Ameryce”. Czytamy w nim:

„Polonia oraz katolicy w Stanach to są czyniki, które w sporze polsko-sowieckim opowiadają się bezwzględnie po stronie polskiej. Ideowi komuniści i zdecydowani sympatycy Rosji opowiadają się po stronie rosyjskiej. Polonia oraz pozostali katolicy w Stanach liczą około 22 milionów głów. Obóz zdecydowanie prorosyjski i prokomunistyczny obliczyć można z grubsza na 10 milionów głów. Ponieważ należy doń wielu wpływowych urzędników, przeto można na ogół powiedzieć, że siły bezwzględnie propolskie i bezwzględnie prorosyjskie na terenie Stanów Zjednoczonych na ogół się równoważą. Podobnie równoważą się sentymenty propolskie i prorosyjskie wśród szerokiego warstw ludności Stanów. Za kim więc opowie się ostatecznie opinia, a zatem i rząd Stanów w sporze polsko-rosyjskim?

Nie mogą oprzeć się wrażeniu, że o przechyleniu szali zadecydują pozostałe czynniki, a mianowicie: 1) masoni, 2) lewica polityczna, 3) wielki business, 4) Amerykanie pochodzenia żydowskiego.

W Waszyngtonie najwspanialsze budynki po Kapitolu i Białym Domu — to loże masońskie. Nic dziwnego — od 150 lat elita inteligencji amerykańskiej zwykła grupować się w lożach. Przy wyborach prezydenckich związek 10% zgłasza zwykle desinteressement: tradycyjnie obaj konkandydaci bywają masonami. Tak było przy wyborach Roosevelt-Willkie, tak będzie przy wyborach najbliższych. Amerykańska ideologia masońska jako program polityczny wysuwa jawnie: rządy z wyboru obywateli, humanitaryzm, szanowanie praw człowieka, wolność krytyki rządzących przez rządzących, legalizm. Realizując ten program, rządzący w ostatnich stu latach tak Kanadą jak Stanami, masoni twierdzą, że zapewnili tym krajom rozwój, szczęście, dobrobyt. Masoni nienawidzą: tyranów, dyktatorów, rewolucji, zamachów stanu, rządów wojskowych, prześladowań opozycji politycznej, mniejszości religijnych i narodowych, obozów koncentracyjnych. Dlatego masoneria amerykańska zwalczała regimie hitlerowski i sowiecki.

Dziś obok Kościoła katolickiego masoneria jest najpotężniejszą siłą ideową, która na terenie Ameryki gra przeciwko Rosji sowieckiej. W konflikcie polsko-rosyjskim masoneria opowiada się i opowie się za Polską, nie za Rosją, ale pod warunkiem, że Polska zerwie kategorycznie z przeszłością: z systemem rządów wojskowych, Brześcia, Berezy, zamachów stanu. Za Polskę taką,

jaka istniała przed r. 1939, masoni nie zamierzają bynajmniej kruszyć kopii.

Tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w Kanadzie, ludzie, reprezentujący idee lewicowe, dochodzą coraz częściej do władzy. New Deal jest tego wymownym dowodem. W konserwatywnej, purytańskiej Kanadzie, skrajnie socjalistyczna partia doszła już do władzy w jednej z prowincji, zabiega o rządy w Dominium. Wśród lewicy amerykańskiej sympatie dla komunizmu są oczywiście silne. Polska przedwrześniowa natomiast uważana była ogólnie za reakcyjną i zacofaną. Lewica amerykańska tylko w jednym wypadku może wystąpić w obronie Polski przed Rosją: jeśli będzie prawdziwie przekonana, że rząd polski jest postępowy, demokratyczny, lewicowy.

Wielki kapitał amerykański, sądzić można, winien mieć sympatie do kapitalistycznej Polski, a antypatię do komunistycznej Rosji. W rzeczywistości sprawa jest bardziej skomplikowana. Wielki business amerykański ulega urokowi „wielkich obszarów gospodarczych”. Ponieważ obecnie stoi przed nim widmo demobilizacyjnego bezrobocia, przeto w odbudowywaniu zniszczonej Rosji na koszt „Lease and Lend-u” widzi najpewniejszą drogę utrzymania koniunktury i zatrudnienia w Stanach. Stąd ma sympatie prorosyjskie.

Kapitalistyczna Polska nie interesuje go w takim stopniu. Ponadto pamięta, że rządy przedmające zwalczały nieraz nielojalnie kapitał zagraniczny, pamięta, że wicepremier Kwiatkowski jednostronnie decyzyjnie przestał spłacać pożyczki amerykańskie, podczas gdy nawet Schacht uzgadniał z bankierami nowojorskimi przesuwanie terminów płatności. Do zawodowych biurokratów, którzy reprezentują zwykle Polskę na międzynarodowych konferencjach gospodarczych, nie ma sympatii: własnych gryzieliorków z New Dealu uienawidzi. Najchętniej widziałby rząd polski, reprezentowany przez solidnych, poważnych businessmenów.

Amerykańscy Żydzi odgrywają poważną rolę w życiu politycznym Stanów ze względu na to, że są wydawcami, redaktorami, współpracownikami dużej części prasy. Interesują się żywo zarówno Rosją, jak Polską, w których mieszka tylu ich rodaków. Swoją stosunek zarówno do Polski, jak do Rosji układają zależnie od stosunku rządów tych krajów do ich rodaków. Żydzi amerykańscy będą zwalczać Rosję, w której będą pogromy Żydów. Będą zwalczać Polskę, w której będą Przytyki. Procesy londyńskie o antysemityzm w armii emigracyjnej przyćmiły, niestety, swym echem w prasie amerykańskiej heroizm korpusu polskiego pod Cassinem.”

„CZARNĄ BRYGADĄ”

Wkrótce po Monte Cassino imię polskiego żołnierza okryło się nową sławą w bitwie pod Falaise. Polska dywizja pancerna gen. Maczka, atakowana z dwóch stron, walcząca wszystkimi swoimi siłami, od szeregowca aż do zespołów sztabowych, odciała chwilowo od głównej armii, zdołała utrzymać kluczową pozycję, zamykając Niemców w pierścieniu wojsk alianckich.

Miedzy Monte Cassino a bitwą normandzką gen. Maczka jest pewien ważny rys wspólny: wzniesienie się ponad przeciętną cnota żołnierza, determinacja i pragnienie zwycięstwa ze wszelką cenę, przełamanie wewnętrznie tego wszystkiego, co mogło jeszcze hamować ostateczną ofiarność i brawurę. Obydwa polskie sukcesy były przede wszystkim zwycięstwem charakterów, zanim stały się powodzeniem wojennym.

Przed szturmem na Monte Cassino bataliony, zgrupowane na podstawie wyjściowej natarcia, ściągający na siebie iscie piekielny ogień artylerii i morderczy niemieckich. Płonąco z okolicznych wzgórz nieśmiał z każdej strony. Żołnierze miewali czasem wrażenie, jakby byli w niego niedoścignące pokiski wasnych dział. Kompania za kompanią chroniła się przed nawalą ognia, schodząc z linii obrzutku poza osłonę gór.

Alie cofnięcie się musiałoby oznaczać rezygnację z ataku. Z całą świadomością tego, co go czeka, żołnierz ruszył powtórnie pod artyleryjską nawalę, której nie wytrzymał w pierwszej chwili. W tej decyzji nie było jeszcze bojowego uniesienia i nieprzemyślanej odwagi, jaka każe zapominać o niebezpieczeństwie — był to gest świadomy i celowy, decyzja zahartowanych charakterów.

Czołgi gen. Maczka nie cofnęły się spod Falaise, chociaż przeważające siły niemieckie całym naporem usiłowały wypchnąć pancerny „korek”, zamykający drogę odwrotu z t. zw. „butelki”, w którą wtłoczono Niemców. Równocześnie były Dywizji były atakowane przez oddziały niemieckie, dążące z odsieczką. Przemogła polska czołgostwo i decyzja wytrwania choćby do ostatniego żołnierza.

Dywizja pancerna odniosła zwycięstwo, na które czekała tak długo od dni swych walk w początkach września 1939 r. Charakter żołnierza był i wówczas i dziś ten sam — środek walki były już inne i umożliwiały pobicie wroga. Może pod Falaise, może w kolumnach, witynych przez ludność belgijskich miasteczek „z szalem radości”, jak opowiadał w Izbie Gmin pki. Mitchell, może w pochodach przed ratuszami Holandii, skąd zwieszają się i polskie flagi, nie zabrakło tych samych żołnierzy, którzy w pierwszej polskiej formacji pancerny bili się z Niemcami nad Rabą, Dunajem i Sanem, atakowali ich pod Lwówem, próbowali brać potęgę na dawnych polach napoleońskich bitew pod Champ-Aubert i Mont-Mirail w kampanii francuskiej 1940 r.

Być może również, że tak jak dywizja dowodził gen. Maczek, jej komendant z Polski i Francji, na stanowisku szefa sztabu znalazł się dawny współpracownik gen. Maczka, F. S. Kurcz, w kampanii wrześniowej szef sztabu polskiej brygady pancerno-motorowej, t. zw. 10-tej zmotoryzowanej brygady kawalerii, a następnie szef sztabu odrodzonej Brygady we Francji.

Jego to zapisom, prowadzonym regularnie od 15 sierpnia 1939 r., zawdzięczamy znajomości dzieł Brygady. Z dość szczegółowych notatek, wystukiwanych na przenośnej maszynie w krótkich przerwach sztabowej pracy, powstały już na terenie angielskim, dwa interesujące świadectwa roli, jaką spełniała w pierwszych latach wojny jedyna polska formacja pancerna. Najpierw ukazał się opis francuskiej kampanii gen. Maczka, później zaś autor, zachęcony powodzeniem swej pracy, ogłosił sprawozdanie z działań Brygady we wrześniu 1939 r., zażytkowane „Miedzy Rabą a Prutem”. Na szrotyłowie „Miedzy Rabą a Prutem”, na Żytkowski Wschód dotarł już angielski przekład obu książek, połączonych pod wspólnym tytułem „Czarnej Brygady”.)

W oswojonych stosunkach wydawniczych, panujących na emigracji, gdzie likwidacja księgarni lub trudności wydawnicze łączą się z głodem książki w wojsku, nie powinno dziwić, że wypadnie o książce polskiej pisać na podstawie jej angielskiego tekstu. Dobrze zresztą, że chociaż w tym języku jest do niej możliwy dostęp. Pamiętnik bowiem F. S. Kurcza — to pierwsza publikacja, dająca szczegółowy przegląd działań wojennych jednej z t. zw. „wielkich jednostek” polskich, zaangażowanych we Wrześniu.

Nowa perspektywa

Jak dotąd — rzeczywistość Września oglądaliśmy albo w nadmiernym zbliżeniu, albo w nadmiernym oddaleniu. Dość liczne fragmenty pamiętnikarskie lub literackie o pracowności relacji bezpośrednich świadków, kreśliły tylko epizody, oderwane od reszty wydarzeń, pozabawione tia, nie ujawniające mimowoli źródła tych tragicznych scen, które opisywały.

„Wiadomości Polskie”, ogłaszając swego czasu konkurs na pamiętnik z przeżyć wrześniowych, skupiły liczne opowiadania. Wierzyli drukownicy często poszczególne rozdziały swej projektowanej książki p. t. „Pobocki wisko”, ale to wszystko, co paterystycznie odślaniało naszą wielkość w tej walce, ogrom

) „The Black Brigade” by F. S. Kurcz, Chief of Staff to the Commander of the 10th Mechanized Cavalry Brigade during the Campaigns of Poland and France. Translated by P. Jordan. Two parts. Harrow, Atlantis Publ., 1943. Str. 224.

ZDZISŁAW BRONCEŁ

cierpienia, wciąż jeszcze nie pokazywało ukrytego mechanizmu wydarzeń, spłotu przyczyn, składających się w końcu na straszliwy rezultat klęski.

Ścisłe fachowa książka gen. Norwid-Neugebauera o Wrześniu — omawiała całość kampanii, ledwie jednak dotykając przyczyn i rekonstruując zjawiska tej niezwykłej wojny w języku, na ogół niedostępnym dla przeciętnego czytelnika, w sztyrze, niezrozumiałym dla społeczeństwa. Była to jakby opinia doktora, wypowiedziana w fachowych terminach fachniczych, której groza pozostała nieuchwytna dla chorego. I tak jak chory nie odgadną, co się kryje poza banalną nazwą, tak samo społeczeństwo zadowoliło się wyliczeniem różnych armii, numerów dywizji, uwagami o naturalnej dysproporcji uzbrojenia, nie zdając sobie sprawy, jak często język fachowego frazesu nie dociera do sedna rzeczy.

Któżby pomyślał, słysząc o armii „Lwów”, dozorującej odcinek „Karpaty”, że armia ta w sensie strategicznym właściwie nie istniała. Ktoby podejrzewał, słysząc tak liczne pochwały brygady pancerno-motorowej gen. Maczka, że nie była ona wcale pancerną. Kto wreszcie pomyśli, czytając o armii takiej lub takiej, pozostającej pod dowództwem dzielnych generałów, że tego rodzaju osłona granic nie była jednak bliska zabawie w owianych żołnierzy.

Autorzy zaś wspomnień widzą zwykle jeden wycinek tragedii: ten trafił na scenę bohaterstwa, ten na moment przykry, tamten widział chwilę zwycięstwa, inny — jeszcze — okoliczności pogromu. Czytając owe kartki, tak często pisane serdeczną krwią, łatwo ulegamy ich sugestii — pozostaje nam ogólne wrażenie, iż żołnierze zawsze umierali, a rzadko mogli być się naprawdę. Składał stałe dowody patriotyzmu, poświęcenia, hartu, wytrzymałości i w końcu musiał ustępować, pobić. Cóż wówczas pozostaje autorowi? Uderzyć w patos słów, wzbudzić melodię narodowych hymnów. Do jej taktu zaczyna nam bić serce i świadomość wielkości ofiary sprzyja zapamiętaniu o przyczynach dramatu, o cennych zjawach lewej strony.

Czy trzeba do tego powracać? Tak jak nieubagane badanie historii powstania listopadowego było obowiązkiem i czystym pokolenia przedniepodległościowego — wpatrywanie się w dzieje Września, rozdarcie wszystkich ran, uświadomienie sobie wszystkich błędów winno być czyszczeniem pokolenia niepodległości.

I lepiej zwycięzić ten przebieg na ziemi, za życia, niż w wieczności historii. Nie wiadomo, czy pokolenie, które budowało nasze ostatnie dwadzieścia lat, będzie jeszcze mogło dołożyć swą cegłą do budowy Polski powszechnej. Jeżeli nie — niechaj chociaż zostawi rachunek sumienia i ostrzeżenie przed błędami, aby nie powtórzył ich nigdy najmłodsze pokolenie polskiej przyszłości, wrastające w głodowych piwnicach Warszawy.

Szef Sztabu

Ów prosty, bezpretensjonalny, pisany bez literackich ambicji, a przecież interesujący, pamiętnik sztabowego oficera jest świetnym środkiem wejścia w medias res kampanii wrześniowej. Patos jest tu niepożądany, świadomość ciężkich obowiązków, konieczność zachowania jasności myśli, każą tłumić wzruszenia — raz tylko po twarzy szefa sztabu spływają łzy: gdy groźba rewolweru musi stracić w przydrożną fosę wód ubogiej rodziny góralskiej, by utworzyć drogę dla czołgów Brygady. Na wozie cały dobytek, schorowana kobieta i dziecko w gorączce. Jak wóz wydobyc z głębokiego rowu, jak zyskać miejsce w nieustannej kolumnie uciekinierów? Rozkaz oficera był prawie że wyrokiem śmierci, wydanym w imię wyższej konieczności.

Na ogół jednak książka, w której potrafi i humor przebysnąć, bliska jest obiektywnej sprawozdawczości. Główne w niej miejsca zajmują wykazy ugrupowania Brygady w poszczególnych dniach kampanii, motywy rozkazów dowództwa, opisy ruchów wojsk. Funkcja autora jako oficera sztabowego widniejąca na książce swe piętno, i to właśnie stało się jej zaletą. Oficer, bezpośrednio walczący w linii, dowódca kompanii czy szwadronu, mógł może dać pamiętnik bardziej emocjonujący, ale w którym byłoby niewiele poza zgiełkiem bitwy i płaczem uciekinierów. Szef sztabu w. j., choć nieraz wpadał w niebezpieczne sytuacje, znajduje się zwykle w pewnym oddaleniu od walki, ogarnia całość, dostrzega taktykę niemiecką i ocenia możliwości, jakie może jej przeciwstawić strona polska.

Znamienna scena z pierwszego dnia wojny streszcza postawę autora. Oto na wieść o pierwszym zadaniu Brygady oficerowie wraz z pki. Maczkiem rzucają się gorączkowo do mapy, dyskutując możliwe kierunki marszu i uderzeń. Szef sztabu, który na taką chwilę czekał 20 lat, przygotowując się do niej w Wyższej Szkole Wojennej i na licznych ćwiczeniach, zasłania mapy dłońmi, mówiąc:

— Panowie, to już moja rzecz! Proszę wydać zasadnicze zlecenia, a sztab jest rozpracowy.

Duch instrukcji, czasem szkodliwy, ale często i bardzo pożyteczny, obejmuje swe panowanie... Brygada wyrusza do boju we wzorowym porządku, w teren dokładnie poprzednio zbadany przez zespół sztabu.

Jak przez kalkę...

Zgodnie z przygotowanym przez Sztab Główny planem rozbudowy armii, którego pierwsze poważniejsze wpływy dały się odczuć dopiero w okresie 1938—39, bronią przeciwpancerną dowódcy „armii”-). miała być brygada pancerno-motorowa, wyposażona w czołgi i oficie dotowana w działka ppance... W momencie wybuchu wojny zdolność wojsk polskich podjęcia walki z pancernem niemieckim sprowadzała się do wartościowych, ale nielicznych kb. ppanc, rozrzuconych dość nierównie po kompaniach piechoty, oraz do 9 działek ppanc na pułk piechoty.

Były one tak ściśle związane z pierwszą linią, z pozycją walki, że dowódcy dywizji, a tym bardziej dowódcy armii, nie rozporządzali już żadnym skutecznym i dość szybkim środkiem przeciwstawienia się nagłemu atakowi czołgów. Projektowane kompanie zmotoryzowanych, szybkostrzelnych działek 20 mm, jako broń panci i plot, jeszcze nie istniały w dywizjach. Z zamierzonych brygad pancerno-motorowych tylko armia „Kraków” generała Szylinga posiadała przez pewien okres kampanii 10-ą brygadę pki. Maczka”).

W tej sytuacji, o ile pułk mógł bronić się przez pewien czas, póki mu nie wytuczono działek ppanc, całość „armii” była bezbronna wobec pancernego manewru Niemców. Dywizje piechoty, zresztą zawsze w przeważającej liczbie, wiązały w frontowej walce główne siły polskie, podczas gdy niemiecka dywizja pancerna okrążała skrzydło, przechodząc przez nieosiągalny odcinek frontu.

Nie stać nas było na pełne obsadzenie granicy, na obronę ciągłą, i musieliśmy przyjąć zasady wojny ruchowej. Wynikało stąd, że armie obronne skupiały się na pewnych terenach, na innych zaś było sił bardzo niewiele i chociaż w teorii musiało istnieć współdziałanie i wzajemna osłona skrzydeł, w praktyce, wobec stosunkowej szczupłości obsady frontu, między poszczególnymi „armiami” były luki, bardzo łatwe do przeniknięcia.

Tamtdy to przechodziła dywizja pancerna, za którą podążała całkowicie zmotoryzowana dywizja lekka z czołgami, piechotą na samochodach i artylerią o znacznej sile ognia. Poprzez bezbronne skrzydło Niemcy wpadali na tyły, rozbijali tabory i służby, niszczyli zaopatrzenie i wszelką łączność „armii” z zaplecem kraju, poczem w następnym manewrze starali się odciąć artylerię od piechoty. Reszta była dziełem zniszczenia lub kapitulacji po kilku dniach rozpaczliwego oporu do ostatniego naboju. Ów fatalny nabój musiał w końcu nadejść i wyniszczone nalołami „myszyc pupacek” szły do niewoli.

Ten schemat niemiecki powtarzał się u nas, jak odbijany przez kalkę. Wszędzie, gdzie dowódca „armii” nie mógł rzucić szyp-

) Przeważnie 4 dywizje piechoty i 2 brygady kawalerii.

) Pki. Maczek został mianowany generałem dopiero przed kampanią francuską.

kiej jednostki ppanc na kierunek oskrzydłającego pochodu niemieckiego pancerna, smutny koniec był nieuchronny.

Na sześć „armii” i jedną samodzielną grupę operacyjną („Narew” — gen. Młot-Fijałkowskiego), tylko armia „Kraków”, gen. Szylinga posiadała ową niezbędną jednostkę i zniszczenia w pierwszej fazie kampanii. Dodatkowym jaskrawym przykładem jest fakt rozbitcia grupy operacyjnej gen. Boruty-Spiechowicza (z armii „Kraków”), gdy tylko przez j e d e n dzień nie miał osłony czołgów i dział pki. Maczka.

Pancerz bez pancerna

Nazwa naszej jedynej „brygady pancerno-motorowej” wiąże się w pamięci społeczeństwa z kampanią wrześniową. Niestety, nazwa była słuszną ledwie w drugiej części: brygada sprowadzała się do dwóch pułków kawalerijskich (24 pułk ułanów i 10 strzelców konnych), umieszczonych na samochodach, wyposażonych jak inne, w działka ppanc, oraz oddziału rozpoznawczego z kompanią tanków wywiadowczych, t. zw. „TK”-ów, podobną do tej, jaką posiadali dowódcy grup operacyjnych. Cechą charakterystyczną brygady stanowiła zmotoryzowana kompania ppanc 37 mm, której tak tragicznie brakło w innych dywizjach i brygadach. Oto było wszystko, jeśli pominąć niezbędne t. zw. służby i różne oddziały pomocnicze, w rodzaju łączności, policji drogowej i t. p.

Przed wybuchem wojny uzupełniono Brygadę osłoną przeciwlotniczą (bateria doskonałych 40 mm. dział plot), batalionem saperów, licznymi oddziałami pomocniczymi, a — co najważniejsza — dalszą kompanią TK-ów i kompanią lekkich tanków Vickersa. Była to najsilniejsza broń pancerna Brygady, jakże niska wobec setek znacznie cięższych czołgów niemieckiej dywizji pancernej.

Szef sztabu ocenia w swej książce siły Brygady na nieco wyższe od dwóch dobrych batalionów, wzmocnionych jednak obfitym zaopatrzeniem w artylerię przeciwpancerną i skromną ilość lekkich tanków.

W tych warunkach Brygada była zdolna do samodzielnych zadań, lecz zadań wyłącznie defensywnych. Dzięki swej sile ognia mogła Brygada skutecznie opóźnić pochód czołgów i dać czas zaskoczonych armii na zwrocenie swego frontu przeciw oskrzydłającemu manewrowi.

Natomiast, jak już wynika z porcji czołgów, nie nadawała się Brygada do akcji ofensywnej. To zdanie, wypowiedziane o naszej najsilniejszej formacji pancerniej, jest równoznaczne stwierdzeniem, że w warunkach wojny nowoczesnej armia polska była w ogóle pozbawiona zdolności ofensywnej. Mogła rozpaczliwie uderzać, uzyskiwać sukcesy taktyczne, nie mogła osiągnąć rozstrzygnięcia strategicznego. Tragizma ofensywa gen. Kutrzeby, która miała zmienić sytuację, kończy się bitwą kutnowską, równie bohaterską jak i katastrofalną od chwili, gdy na gen. Kutrzebę uderzyły dywizje pancerne, zawrócone spod Warszawy. Stolica na chwilę odcięta, ale ostatnia nienaruszona armia polska uległa rozbitciu.

Kalekie „skrzydła”

Gen. Szyling, dowódca armii „Kraków”, ma powierzoną obronę Śląska i Małopolski Zachodniej, czy też — powiedzmy raczej — opóźnienia pochodu nieprzyjaciela na tym kierunku do czasu pomyślniej koncentracji odwodów strategicznych. Ale armia gen. Szylinga obciążona jest zadaniem ponad siły, — południowo-wschodnie jej skrzydło wisi w próżni.

Mimo że były wyraźne wiadomości o sytuacji politycznej w Słowacji, chciano się ludzi, iż Słowacja nie będzie dostatecznie szerokołą bazą dla operacji niemieckich. Wojska niemieckie ze Słowacji mogły sięgać aż do zagłębia naftowego i wespół z uderzeniem z Prus Wschodnich na kierunek Grodna przekazywać błędy naszego przygotowania wojkowego i tłumaczyć przebieg kampanii, wyrobiono argument, iż musieliśmy szybko uleć niemieckiej przewadze bez względu na mniejszy czy większy stopień przygotowania.

Przykład tej jednej, skromnej, jakże skromnej, choć szumnie nazywanej, Brygady, pokazując, o ile cięższa byłaby dla Niemców ta kampania, o ile trwałaby dłużej, gdyby stało więcej choćby owych brygad. Rozgrzeszając błędy naszego przygotowania wojkowego i tłumacząc przebieg kampanii, wyrobiono argument, iż musieliśmy szybko uleć niemieckiej przewadze bez względu na mniejszy czy większy stopień przygotowania.

Ten wygodny pogląd nie wytrzymał krytyki choćby w świetle dzieł „Czarnej Brygady”. Pki. Maczek walczył skutecznie z Niemcami przez 17 dni, granicę węgierską przekraczał, obwołany w sprzeczni niemieckiej, nie porzucał nie ze sprzutu własnego: na placu zostawało tylko działko, rozbite niemieckim pociskiem, nigdy zaś — działko, utracone w zamęcie późniejszej ewakuacji. Mimo że jego formacja nie było przystosowana do akcji zaczepnej, atakował i szarpał, jak zagonyści, dwie niemieckie dywizje pancerne. Pod Zboiskami, w pobliżu Lwowa, poszczerbioną brygadą — rzecz nieprawdopodobna — otoczył niemiecką dywizję (2. dywizja górską), której poczyniła już brakną żywności i amunicji, kiedy rozkaz Naczelnego Wodza odwołał pki. Maczka nad Dniestr.

W tym wszystkim leży miara możliwości oporu. Co zaś najważniejsze, armia gen. Szylinga nie uległa losowi innych, lecz nieprzeskrzydłona, cofała się w porządku wzdłuż Wisły, do rejonu koncentracji wojsk, będących w odwrocie od granic państwa. Niestety, rejon ten wówczas już nie istniał: — bezbronne wobec pancerna ugrupowania, przepuszczyli Niemców na zbierającą się armię odwodową gen. Dęba.

Opór polski mógł w innych warunkach trwać znacznie dłużej. Trudno się bawić w przypuszczenia, co by wówczas nastąpiło. Historia nie zna „gdyby”. Ale ponad wątpliwość można stwierdzić, że inna byłaby sytuacja Rosji wobec państwa, posiadającego Prezydenta, rząd, Naczelnego Wodza na swym terytorium i że, być może, ówczesne projekty sowieckie uległyby pewnej modyfikacji mimo tajnego układu sowiecko-niemieckiego, przyrzekającego wejście wojsk rosyjskich na teren Rzplitej na dzień 15 czerwca, tuż przed terminem ofensywy francuskiej... Fundatio mieiliśmy wtedy za sobą datę 20 września — ostateczny termin odłożonego z 17 września uderzenia na Zachodzie. Dalsze jego opóźnienie mogłoby stworzyć zbyt poważną odpowiedzialność polityczną dla naszych aliantów i nową sytuację dla nas...

Gdyby zaś ofensywa francuska istotnie ruszyła, zamiast około 30 dywizji, z którymi dziś walczy nad Renem, miałyby do zwalczania tylko 7—10. Reszta była zaangażowana

ciskami, obrócać się w popiół, popiół nieśmiertelny...

Skoro tak biją się pancerniacy, odziani w czarne skórzane kurtki, to w dn. 6 września, kiedy Niemcy podchodzą pod Warszawę, a Naczelny Wódz zmuszony jest do wydania rozkazu ogólnego odwrotu za Wisłę, na froncie pki. Maczka Niemcy walczą jeszcze o wyście z górskich dolin i Brygada stara się ich nie dopuścić na linię Dunajca.

Zobowiązania i terminy

Przykład tej jednej, skromnej, jakże skromnej, choć szumnie nazywanej, Brygady, pokazując, o ile cięższa byłaby dla Niemców ta kampania, o ile trwałaby dłużej, gdyby stało więcej choćby owych brygad. Rozgrzeszając błędy naszego przygotowania wojkowego i tłumacząc przebieg kampanii, wyrobiono argument, iż musieliśmy szybko uleć niemieckiej przewadze bez względu na mniejszy czy większy stopień przygotowania.

Ten wygodny pogląd nie wytrzymał krytyki choćby w świetle dzieł „Czarnej Brygady”. Pki. Maczek walczył skutecznie z Niemcami przez 17 dni, granicę węgierską przekraczał, obwołany w sprzeczni niemieckiej, nie porzucał nie ze sprzutu własnego: na placu zostawało tylko działko, rozbite niemieckim pociskiem, nigdy zaś — działko, utracone w zamęcie późniejszej ewakuacji. Mimo że jego formacja nie było przystosowana do akcji zaczepnej, atakował i szarpał, jak zagonyści, dwie niemieckie dywizje pancerne. Pod Zboiskami, w pobliżu Lwowa, poszczerbioną brygadą — rzecz nieprawdopodobna — otoczył niemiecką dywizję (2. dywizja górską), której poczyniła już brakną żywności i amunicji, kiedy rozkaz Naczelnego Wodza odwołał pki. Maczka nad Dniestr.

W tym wszystkim leży miara możliwości oporu. Co zaś najważniejsze, armia gen. Szylinga nie uległa losowi innych, lecz nieprzeskrzydłona, cofała się w porządku wzdłuż Wisły, do rejonu koncentracji wojsk, będących w odwrocie od granic państwa. Niestety, rejon ten wówczas już nie istniał: — bezbronne wobec pancerna ugrupowania, przepuszczyli Niemców na zbierającą się armię odwodową gen. Dęba.

Opór polski mógł w innych warunkach trwać znacznie dłużej. Trudno się bawić w przypuszczenia, co by wówczas nastąpiło. Historia nie zna „gdyby”. Ale ponad wątpliwość można stwierdzić, że inna byłaby sytuacja Rosji wobec państwa, posiadającego Prezydenta, rząd, Naczelnego Wodza na swym terytorium i że, być może, ówczesne projekty sowieckie uległyby pewnej modyfikacji mimo tajnego układu sowiecko-niemieckiego, przyrzekającego wejście wojsk rosyjskich na teren Rzplitej na dzień 15 czerwca, tuż przed terminem ofensywy francuskiej... Fundatio mieiliśmy wtedy za sobą datę 20 września — ostateczny termin odłożonego z 17 września uderzenia na Zachodzie. Dalsze jego opóźnienie mogłoby stworzyć zbyt poważną odpowiedzialność polityczną dla naszych aliantów i nową sytuację dla nas...

Gdyby zaś ofensywa francuska istotnie ruszyła, zamiast około 30 dywizji, z którymi dziś walczy nad Renem, miałyby do zwalczania tylko 7—10. Reszta była zaangażowana

w Polsce. Hitler wygrał raz jeszcze, grając na psychologii Zachodu. W głośnym oświadczeniu niemieckim wobec prasy amerykańskiej w r. 1940 przyznano się, iż Francja stała we wrześniu 1939 r. wobec Niemiec tak słabych, że zdecydowana akcja mogła zmienić charakter wojny.

Saskie proporcje

Spóeczeństwo polskie z dumą pamięta, iż Hel i gen. Kleberg walczyli jeszcze w październiku, że bronili się Warszawa i Modlin. Stąd bierzemy formalną podstawę do twierdzenia o ilości dni naszego oporu.

Zachód jednak patrzy na te samą sprawę inaczej. Docenia bohaterstwo Warszawy, ale w jej obronie widzi raczej gest miasta, niż państwa. Dla Europy państwo polskie przestało walczyć 17 września. Inni upadali później jeszcze szybciej, ale nikt nie oczekiwał wielkich kampanii od Belgii, Holandii czy choćby Jugosławii. Siłę oporu widziano w Polsce i Francji. Trwałość tego oporu kształtowała na przyszłość kredyt polityczny naszego narodu u mniejszych państw Europy środkowej, szukających przyjaciela dość silnego, by stanąć na czele ich koalicji, a za słabego, by koalicję przemienić w zależność lub — co gorsza — w niepodległość pozorną.

Owych wrześniowych siedemnastki dni obecności Naczelnego Wodza w kraju podcięło u naszych szlachejszych sąsiadów ufnosć w Polskę i jest pierwszą przyczyną rozchwiania się różnych projektów federacyjnych. Zostaliśmy „natchnieniem narodów”, przestaliśmy być gwarantem wolności w Europie Środkowej. Skutki są aż nazbyt widoczne.

Cofając się do przyczyn coraz głębszych, niepodobna nie dotknąć wewnętrznych stonków Polski sprzed r. 1939. Gdyby ktoś w okresie rozpisania Pożyczki Obrony Przedzielnictwa i zaproszenia do jej komitetu przedstawicieli wszystkich ugrupowań z pominięciem Walerego Ślawnika (możnaby powiedzieć: zaproszone wszystkich, tylko nie zaleziono miejsca dla... Piłsudskiego), powiedział, iż położenie Polski przypomina czasy saskie, podano by wątpliwość jego patriotyzm.

Tymczasem patriotyzm społeczeństwa był istotnie niewątpliwy, ale proporcja sił zbrojnych Polski i jej sąsiadów równie niewątpliwie przypominała czasy saskie. Na saską też modę oceniano mocarstwowość.

Lecz gdzież ciemnota czasów saskich? Swoiste jej odbicie stanowił zjawiający się duch nietolerancji, lekceważenie wykształcenia i wreszcie jakieś osobliwe polskie zwyczajnie pojęć etycznych: postawienie znaku równania między człowiekiem uczciwym a nieomylnym. Gdy krytykowano błąd ministra, uważano, że godzi to w jego uczciwość i patriotyzm. I w urojonej obronie tych cnót duszono swobodną krytykę.

Albo — albo

Książka F. S. Kurcza rzuca też nieco światła na dziś niejasną jeszcze kwestię stonku Naczelnego Dowództwa do nadchodzącej wojny. W sierpniu 1939 r. polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie wierzyło w wojnę. Żądania, presję i demonstracje Hitlera uważano za jeden więcej szantaż, sądząc, że gdy Polska postąpi odmiennie od Francji po zajęciu Nadrenii i powie stanowczo „nie!”, niemiecki balon próbny prysnie jak bańka mydlana. 7 marca 1936 r. Anglia nie przyrzekała swej pomocy Francji w reakcji na zajęcie Nadrenii, Francuzi bez Anglii woleli zgodnie pokławić głowami. Natomiast w dniu 21 marca 1939 r. Anglia oświadczyła Polsce, iż każde nasze „nie!” zostanie poparte przez siły zbrojne Jego Królewskiej Mości. Toteż sytuacja, była przekonana, że Hitler, nie licząc się z kontynentem, będzie się liczył z brytyjską wyspą.

Człowiek ulicy również nie oczekiwał wojny, choć odczuwał jej niebezpieczeństwo. Hitlerowska metoda wojny nerwów zaczęła w Polsce działać a rebours: uważano sobie za punkt honoru nie przejmować się wojną i w ten sposób zwyciężyć w „wojnie nerwów”. Przeciwny oficer, zmęczony rozlicznymi alarmami, również przestał oczekiwać starcia.

Na wypadek wojny oficerowie sztabowi Brygady pki. Maczka zdawali sobie sprawę z tego, iż armia polska nie sprosta siłę niemieckiej, że będzie zdolna jedynie do działań opóźniających i los Polski rozstrzygnie się, oczywiście pomyślnie, nad Renem. Przewidywanie było słuszne, z opóźnieniem pięcioletnim. Być może, że autor „Czarnej Brygady” uległ pewnej sugestii późniejszych przeżyć, jeżeli jednak oddał ściśle zapatrywania swoje i swych kolegów z ostatnich dni sierpnia, były one rzeczywiście pozbawione szkodliwych złudzeń. Dowództwo Brygady, mające świadomość roli broni pancerniej, podchodziło do sprawy trzeźwo — po żołniersku. Byli gotowi do spełnienia swego zadania.

Wywiad polski posiadał dość wierne informacje o sile niemieckiej i rejonach koncentracyjnych. Powinno stąd wynikać, że Naczelne Dowództwo już od wiosny 1939 r.

orientowało się w formach zagrożenia i charakterze przyszłej kampanii. Tak twierdzą obrońcy naszej ówczesnej polityki wojskowej; pki. Piłkowski!) podkreśla, że zachodni plan operacyjny został zapięty na ostatni guzik właśnie w tym czasie, a pki. Umiański w swej „Bitwie Polskiej” posuwa się do wręcz niezwykłych sugestii, dając do zrozumienia, że Naczelny Wódz zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji i możliwych rozmiarów porażki, nie informował jednak rządu dość jasno, by nie oddziaływał defetystycznie na jego decyzje.

Trudno przyjąć tego rodzaju układ stonków między Naczelnym Wodzem a rządem państwa, tym nie mniej jeśli Naczelne Dowództwo miało podobne przewidywania, trzeba stwierdzić, że plan kampanii i jej przygotowanie pozostawało z tym w absolutnej sprzeczności.

Z jednej strony przesunięto grupę odwodów bardziej na południe, wobec narastającego zagrożenia na kierunku śląskim i od strony Słowacji, z drugiej zaś ochronę południowej granicy państwa stanowiły tylko oddziały KOP-u. Nie naprawił tego zmieniony rejon koncentracji odwodów, uczynił je zaś łatwiej osiągalnymi dla niemieckiego zagonu pancernego. Brygada gen. Maczka, użyta z powodzeniem w rejonie Nowego Targu, została tak skierowana, już w pierwszym dniu wojny, że wszelka, choćby nikła, interwencja na drodze środkowego zagonu pancernego była niemożliwa.

Jeżeli Naczelne Dowództwo nie chciało narażać Brygad na spotkanie z pancernem niemieckim w otwartym terenie!) i zgóry przesądzało sukces niemiecki na zachód od Wisły, to umieszczenie odwodów i dalekie wysunięcie wszystkich armii było sprzeczne z myślą obrony na linii września: Narew, Bug, Wisła, San. Kiedy 6 września ukazał się rozkaz, ustalający podobny cel odwrotu, Niemcy są już na tyjach armii, nieostrożnie eksponowanych na zachodnich granicach, a środek interwencji w rękach Naczelnego Wodza, armia gen. Dęba, już nie istnieje.

Widmowa armia

Ów zresztą San był pewną legendą dla południowych dywizji, podobnie jak Wisła i Bug dla dywizji północnych i środkowych. Ku rzece, ku wyimaginowanym fortyfikacjom na Sanie zdążyła Brygada pki. Maczka. W dzień bitwy — w nocy manewr. Żołnierze, bezseni od tygodnia, wala się ze zmęczenia. San jest oczekiwaną jak zbawienie. Tam mają znajdować się nowe wojska, ufortyfikowane linie obronne, tam Brygada przejdzie do rezerwy. Gdy wreszcie doszli — skrawieni i wyczerpani — nie znalaziono nad Sanem choćby... okopów, które mogła wykopać miejscowa ludność. Byłe było rozkaz. Byłe ktoś o tym pomyślał... Rzeka o niskim stanie, niepodmianowe mosty. Oddziały KOP-u spłynęły w stronę Lwowa, Niemcy szły stalowym węzeł po wszystkich drogach, wiodących na Lwów.

Toteż nocami Brygada musi gwałtownie cofać się i zagradzać drogę Niemcom na nowym miejscu. Wyczerpanie dochodzi do tego stopnia, że raz usypia w marszu cała kolumna. Pierwszy kierowca, zaspiały, podświadomie, zatrzymał wóz, za nim stanęli inni i wnet ulegli zmęczeniu. Spali wszyscy od szeregowca do szefa sztabu...

Mimo to jednak owa widmowa armia walczy i walczy z powodzeniem, póki nie spotyka się z największym nieszcześciem — brakiem benzyny. Benzyna ta właściwie jest, kwatremistrz zdobył ją w Rzeszowie, lecz nie może jej dowieźć

RALPH HENTON

ANGLICY A WOJNA

Kilka tygodni temu przybyłem z okupowanej Europy do Londynu. Znaleźć się wśród Anglików po czterech latach niemieckiego panowania — to znaleźć się w innym świecie. Wczoraj spacerowałem po Charing Cross Road. W jednym z okien wystawowych doliczyłem się dziewięciu książek i broszur, zawierających w tytule słowo „Nazi”. W trzech tylko tytułach znalazłem słowo: „niemiecki”. Lata już minęły od chwili, gdy ludzie w okupowanej Europie zrozumieli kłamliwość przedwojennego hasła, że to nie Niemcy są winni, lecz przywódcy. Wydaje się jednak, że Anglikom nawet dziś potrzebne jest jeszcze jakieś usprawiedliwienie, by zabić Niemców. Marynarze, lotnicy i żołnierze wykonywują świetnie i walecznie swój obowiązek. Cywilna ludność południowej Anglii przeżywa swe obecne ciężkie doświadczenia z niczym nieznaną pogardą dla nowego wyczynu Hitlera w jego intuicyjnym prowadzeniu wojny. Znajdujące się pod niemieckim jarzmem narody żywią dla Anglii tak wielką sympatię i podziw, że trzej Anglicy wcale nie mogą zrozumieć tego uczucia. Niezależnie od tego, wydaje się, że dla Anglii wojna jest wciąż jeszcze tylko grą, na czas trwania której trzeba przeciwnika uważać za wroga.

Można zrozumieć, że Anglikowi z trudem przychodzi pojąć, co odczuwają mieszkańcy okupowanego kraju. Ludzie, pozbawieni broni, czują się bezsilni i upokorzeni w obliczu potężnego wroga. Nie mogą już stanąć do otwartej walki z ciemiężcami. Widzą, jak Niemcy paradyją po ulicach, lecz na próżno chcą ich wyrzucić ze swego kraju. Może to i prawda, że rzadko się zdarza, by żołnierz na froncie nienawidził wroga. Lecz być uczuciowo indyferentnym, będąc bezbronny — to trudniejsza sprawa. Działalność nawet pracujących w organizacjach wojskowych różni się wielce od zwykłej służby żołnierskiej. Żaden zmechanizowany dryl, żadna zręczniowa dyscyplina nie bierze ich w karby. Problemy moralne rozwiązują sami. Napięcie jest większe i nienawiść jest silniejsza.

Anglicy nie przesłali przez owe kolejne stadia rosnącej nienawiści, które cechują ujarzmioną przez Niemców Europę. Gdy z oddalenia próbują zrozumieć, co to znaczy mieć Niemców u siebie, w kraju, — pełni współczucia utwierdzają się w przekonaniu, że ciąży na nich obowiązek dalszych poświęceń dla pokonania Niemców. Nie można jednak liczyć na to, że odczują oni całą gamę wzruszeń — od najwęższej w pierwszych miesiącach okupacji do dzisiejszej nienawiści, bezwzględnej i prymitywnej, od niechętnych uwag o pierwszej, wydawanej pod niemiecką cenzurą, gazetce — do rozpacz, gdy cały kontynent europejski został zamieniony w jeden olbrzymi obóz koncentracyjny. Anglik nigdy nie przeżył wstrząsu, jaki towarzyszy znalezieniu się nagle w szponach inwazji wojskowej. Nigdy nie musiał siłą odpędzać sprzed oczu mitu o niemieckiej niezwykłości. Nigdy nie odczuwał niepewności i lęku, które sprawiają, że życie podziemnego działacza staje się gorączkowym wyścigiem z czasem. Co najpierw przyjdzie? Gestapo czy Drugi Front?

Ludzie na kontynencie często mogą walczyć z Niemcami tylko w sposób bierny. Dnie ich wielkimi literami przesłania jedno: „Nie, nie zostaną!” Dla Anglii tymczasem lata wojny oznaczały usilną zaprawę, stały wzrost wydajności pracy i wszystko sobą ogarniający jeden narodowy wysiłek. Anglicy mają powody do dumy z tego, co dokonali, i jawnie mogą tę dumę okazywać. W wojnie okrzepła angielska wytrwałość, wojna dała Anglikom nowe siły i wiarę w te siły. Anglicy nie dość boją się Niemców, by móc ich nienawidzić. Czasem powątpiewam, czy Anglicy w ogóle umieją nienawidzić. Sądzę, że w ich pojęciu nienawiść jest poniżej godności obywatela cywilizowanego kraju. Anglik może się zawsze głośno wypowiedzieć i pozbyć się natrętnych myśli.

Anglika chroni szereg najroźnorodniejszych kłopotów bezpieczeństwa: od działalności najmniejszej rady gminnej do skomplikowanej procedury Izby Gmin. Pomagają one zachować równowagę duchową i rozładują wewnętrzne ciśnienie podejrzeń, napastliwości, nienawiści, jak cień idących za Niemcami.

Poza tym, dla Anglii nienawiść to zbyt ciężki wysiłek uczuciowy. Nienawiść wymagałaby nieprzyjemnego kontaktu uczuciowego z wrogiem, wymagałaby zbytniego nim zainteresowania i doceniania go. Gdy zdarzy się, że Anglika trapią jakieś napastnicze impulsy, stara się je roztopić w trudach i niewygodach życia, których wtedy umyślnie szuka. Ludzie spotykani na ulicy, pisma, tygodniki, wykłady, teatr — wszystko poucza mnie stale, że, co się na tym świecie nie przytrafi, wojna czy nie wojna, Anglicy zostaną tym, czym są. Podczas kryzysu wojennego nowa klasa społeczna może powoli wzrastać i umacniać się i nadać nowe cechy charakterowi narodowemu. Ale nie nie potrafi wyprowadzić Anglika z równowagi i poruszyć go do pasji. Mając jeszcze w uszach świrujący jazgot fletów i bębniów niemieckiej parady wojskowej, znalazłem się na zebraniu dyskusyjnym, na którym, po całkowitej akademickiej debacie postanowiono większością dwóch trzecich głosów, że Anglika powinna zrezygnować z dominiów i kolonii. W kiosku księgarskim wzięłem na chybił trafił do ręki jakieś administracyjne przepisy i natknąłem się na słowa: „Rząd żywi nadzieję, że publiczność będzie z nim współ-

pracować”. Zastanawiam się, jak dalece Niemcy liczą na współpracę człowieka, którego zabijają za to, że znalazł się na ulicy w dzień minut po godzinie policyjnej. Czytałem dziennik parlamentu i dowiedziałem się, że wysoki urzędnik państwowy dobrze się napocił, gdy starał się usprawiedliwić przed członkami parlamentu z zarzutu zastosowania jakichś, niezbędnych zresztą, środków ostrożności.

Powtarzanie, że obecna wojna nie jest jedynie walką o władzę, lecz stanowi konflikt dwu współzawodniczących ze sobą ideologii — stało się już truizmem dzisiejszej propagandy wojennej. Można iść dalej i powiedzieć, że wojna obecna jest walką dwu, kraciowo ze sobą sprzecznych, sposobów życia. Pierwszy z nich, często powolny w zbiorowej akcji, jest światły i stosunkowo zdrowy, drugi — dogmatyczny, surowy, zarty gorączką, zerując na niezdrowych emocjach i masowych sugestjach.

Niemcy przypominają człowieka, którego rozwój i wychowanie nie miały całkowicie pomyslnego przebiegu. Było zbyt wiele konfliktów, zbyt wiele pozostało gorzkości. Pacjent uwielbia gwałt. Humor jego jest cierpki, ironia, której używa w samoobronie, ma posmak rozpaczliwy. Musi być zawsze gotów do bójk, bo byle słowo, byle uśmiech może go dotknąć do żywego. Pracuje ciężko i bezzadanie. Do pracy zabiera się systematycznie, ponieważ chce odrobić dawne niepowodzenia. Ale w końcu zawsze się coś psuje w tym systemie. Tu i ówdzie ukazuje się jakaś paranoiczna smuga. Gdzieś niedługo brak jakiegoś ognia. Nie ma zrównoważonej współpracy uczucia i myśli, koniecznej, by system żył i przetrwał.

Hitler ujarzmił nieprzyjaciół politycznych i położył kres zamętowi, który rozpanoszył się w niemieckiej polityce. Ale fanatyzm i nietolerancja walki klasowej znów wychyliły głowę, nadając całemu narodowi napastniczą postawę w stosunku do innych narodów. W angielskiej historii nie ma żadnej analogii do tej linii rozwojowej. Stara tradycja imperialna sprawiła, że kraj zainteresował i poczuł obowiązek Anglika nie dają się pomicieć w granicach narodowościowych; tym sposobem Anglik został uodporniony przeciw niemieckiej zarazie. Gdy przyszła wojna, Anglik wiedział, jak ma walczyć. Pod powłoką zewnętrznego spokoju kryje się siła. Anglik walczy lepiej i bardziej umiejętnie niż brutalnie zdyscyplinowany żołdak niemiecki. Anglik posiada wewnętrzną dyscyplinę, która sprawia, że nie ulegnie się on Niemcom, nawet gdyby musiał bronić swego kraju przed atakiem kilku tysięcy nieprzyjacielskich bombowców, a nie miał żadnych środków obrony prócz kilkunastu działek przeciwlotniczych. Mało się on wzrusza, gdy Niemcy przypisują mu swe własne, nikczemne intencje. Nie daje się też wciągnąć w błędne koło marzeń o odwecie. Pewność siebie i zimna krew chronią go przed uczuciem nienawiści. Można sobie naprzykład wyobrazić, ile jadowitej nienawiści byłoby w niemieckim dodatku filmowym, pokazującym ruiny, pozostałe po ataku bomb latających na niemieckie miasto. Angielski dodatek zawiera rzeczowe objaśnienia, podane bezbarwnym głosem speakera z BBC, który rzadko tylko nawet raczy wypowiedzieć słowo „Niemcy”, a uczuciowe momenty komentarza ogranicza do wyrażenia zadowolenia, że jakiś szpetny dom na Carley Street znikł już z powierzchni ziemi.

Macaulay, opisując epokę, w której angielskie tradycje imperialne zaczynały się dopiero kształtować, mógłby znaleźć, być może, więcej postaci, podobnych do owej księżnej Marlborough, o której powiedział: „Nienawiść przychodziła jej z łatwością, nienawidziła z całego serca i nienawidziła bezlitośnie”. Gdyby Macaulay żył dziś, niełatwo byłoby mu znaleźć jakąś wybitną osobistość współczesną, do której można by zastosować słowa, powiedziane o księżnej. Może wzięby pod uwagę jednego z jej znakomitych potomków*), który, jak mało kto inny w dzisiejszej Anglii zdołał do głębi zrozumieć duszę niemiecką.

Po wojnie nie trzeba będzie nienawiści. Trzeba będzie wiele pracy i trzeźwego myślenia, by usunąć gruz i opanować chaos w Europie. Nienawiść dodaje siły uderzeniu, lecz gdy wróg leży już powalony na ziemi, nie trzeba już wymierzać dalszych ciosów w próżnię. Człowiek, który nienawidził, nie ma już kogo nienawidzić. Runął cały system napastniczych idei, w który rozbudował swą nienawiść. Człowiek nie ma się już czego lękać i chce być łagodnym. Nienawiść sama się rozładuje, a ponieważ człowiek stracił już równowagę bezstronnego rozumowania, poddaje się uczuciu litości wobec pokonanego nieprzyjaciela. I dlatego najprawdopodobniej popełni masę głupstw. Możliwe nawet, że sam pomoże wrogowi powstać i zacząć raz jeszcze od początku. Gdy z biegiem lat Niemcy okazali się całkowicie niezdolni do współpracy z innymi narodami, mieszkańcy krajów okupowanych nauczyli się patrzeć na Anglików, jako na głównych w Europie obrońców demokratycznego sposobu życia.

Ludzie, którzy po latach niemieckiego panowania zdążyli zachować umiejętność spokoju, rozumnego sądu, wiedzą, że gdy wojna się skończy, niszczycielska pasja nie potrafi zbudować nowego świata.

Thum. H. Z.

*) Jak wiadomo, Winston Churchill pochodzi z rodu książąt Marlborough (przyp. tłum.).

WŁADYSŁAW CHOMA

Na punkcie obserwacyjnym

W najbliższych dniach ukaże się nakładem Wydawnictwa „W Drodze” książka Władysława Chomy: „Tobruk-Gazala”. Wyjmuje z niej jeden rozdział w skróceniu.

W wyniku dokładnego rozpoznania zarówno przedpola jak i rozmieszczenia stanowisk włoskich na zachodnim odcinku w Tobruku, zapadło postanowienie, że kompania I-go baonu dokona tego wypadu. Do wykonania tego zadania została wyznaczona niepełna 4-ta kompania i spieszony pluton carrierów.

Tak więc pełna setka ludzi z etatowym uzbrojeniem, z radiostacją, a nawet z sanitariuszami (nosze) miała przejść równie jak stół przedpole na przestrzeni 1200 m i przez lukę między stanowiskami nie szerszą jak 150 m przejść na tyły.

Niewątpliwie uczestnicy wypadu przeżyli wiele emocji, dobrze jednak, że nie wiedzieli, co działo się w tym czasie na punkcie obserwacyjnym dowódcy baonu, a więc w miejscu, które mogło się wydawać rzeczywicie tylko „obserwacyjnym” w sensie cywilnym, bez istotnej treści, jakim słowo to zawiera w znaczeniu wojskowym.

Punkt obserwacyjny dcy baonu w czasie wypadu w nocy z dnia 20 na 21 listopada 1941 znajdował się na placówce „Roman”. Nocy poprzedniej saperzy ośłonili nieco miejsce workami z piaskiem i zamaskowali. Na punkcie tym mogło z trudem zmieścić się dwóch ludzi. Obok była naturalna, niewielka jaskinia, gdzie od biedy mogło skryć się również kilku żołnierzy. Ochronę punktu stanowili żołnierze baonu czeskiego. O 300 m na prawo woskow od punktu znajdowały się silnie umocnione stanowiska włoskie, sławne „Pimples”; cel wypadu znajdował się o 1,5 km na lewo woskow, przed nami była linia pozycja nieprzyjaciela.

Wiedzieliśmy, że kompania wypadowa, która o północy wyszła z podstawy wyjściowej i skradała się ku stanowiskom włoskim, powinna znaleźć się na ich tyłach przed godz. 2.30. O tej godzinie Karpacki Pułk Artylerii miał rozpocząć ogień na stanowiska włoskich dział i k.m., aby stworzyć warunki, w których kompania wypadowa mogłaby zadać nieprzyjacielowi jak największe straty.

Grupa wypadowa nie mogła użyć telefonu dla porozumienia się z dcy baonu, przeto zabrała ze sobą radiostację.

Jesteśmy na punkcie obserwacyjnym. Telefonistów nie posiadają gumowych butów i ku zmartwieniu dowódcy robią wiele hałasu. Widać znaczne podniecenie u wszystkich, tym bardziej że zaczynają się niespodzianki. Po poprzedniej nocy zbudowano do użytku dcy baonu dwie linie telefoniczne, a przed chwilą artylerzyści zakończyli budowę swojej linii dla obserwatora. Są aż trzy linie, ale nie można zupełnie porozumieć się przy ich pomocy z Brygadą. Są zapewne gdzieś uszkodzone, choć wczoraj wszystkie funkcjonowały znakomicie. Punkt obserwacyjny zamienia się w małe piekielko. Dowódca jest wściekły, a nie mogąc kłąć wykonawców linii ze względu na ich nieobecność i na konieczność zachowania ciszy, wygraża pięścią w kierunku Bogu ducha winnych obecnych telefonistów. Rozumienie irytację i musimy przyznać, że jest ona słuszną. Jak na złość, radiofoniści nie mogą nawiązać kontaktu z kompanią wypadową. Gdyby nie noc i brak czasu, można by temu jakoś zaradzić, — ale teraz?

Po kilkunastu minutach sytuacja zaczyna się poprawiać. Sprytny plut. Szcz. włączył się do napotkanej linii baonu czeskiego i używa tym sposobem połączenie z dowództwem Brygady. Tą drogą dowiadujemy się, że kompania wypadowa prawie że dokładnie o oznaczonej godzinie wyszła i obecnie znajduje się na przedpolu.

Już jest znacznie po północy. Na przedpolu cisza. Nawet rakiety widać coraz rzadziej. Oświetlają one przeważnie odcinek drogi na Derne. A przecież w tej ciszy coś się dzieje. Przecież setka ludzi działa na przedpolu. Przygotowuje się robota, w której wyniku wielu ludzi nie zobaczy już następnego ranka. A jednak jest cicho.

Dalej na zachodzie odbywa się angielski nalot na Gazalę czy Acromę. Widać spadochronowe rakiety i snopy kolorowych pocisków włoskiej opl. Tam musi być teraz gorąco, dochodzą odgłosy głuchych wybuchów. Cisza na przedpolu zaczyna nas denerwować. Czyżby Włosi coś wyczuli i przygotowali zasadkę?

Mija godzina pierwsza, zbliża się druga. Zdenerwowanie w pieczarze, gdzie jest nasz aparat telefoniczny, rośnie. Artylerzyści naprawili wreszcie swoją linię telefoniczną, ale przy tej sposobności włączony/aparat zaczął głośno dzwonić. Dzwoni sobie najspokojniej, jak w prywatnym pokoju, a siedzący obok żołnierz tak się tym przeraża, że nie wyłącza go natychmiast. Czini to dopiero po chwili przytomniejszy kolega. Na chwilę zamarliśmy. Teraz, gdy mówi się ciszej niż półgłosem, gdy chodzimy na palcach — ta bestia! dzwoni. Taki drobniak, a przecież ten przeklęty dzwonek może nas zdradzić i cała tak ładnie prowadzona robota zda się psu na budę. Najważniejsze, czy Włosi uszyszeli. Długa, niemożliwie długa chwila wyczekiwania. Od strony „Pimples” nie nie słychać. Chwała Bogu, pewno wiatr zagłuszył dzwonek.

Kontakt z kompanią nie nawiązany. Radiofoniści powtarza nieustannie: „Tu Brzoza.

Czy nas słyszycie?” Brak odpowiedzi. Raz zdawało się, że ktoś odpowiada, ale to było złudzenie. Co tam mogło stać się z radioaparatem?

Z punktu u podstawy wyjściowej kompanii dowiadujemy się tylko tyle, że kompania wyszła i na przedpolu niczego nie widać. Odzywa się telefon z Brygady. Mówi płk. Peszek. Pyta o kompanię wypadową. Gen. Kopaniński jest zaniepokojony. Wszyscy to dobrze rozumieją.

O wysłaniu łącznika nie można myśleć, bo mógłby łatwo zbłądzić lub wpaść na włoską placówkę i zdekonspirować całą wyprawę. Staramy się pocieszać tym, że może przecież radio odezwie się wreszcie.

Ukryci za głazami, wpatrujemy się w ciemność w tej nierealnej nadziei, że coś uda nam się zobaczyć. Ale co? Na to naprawdę nie mogliśmy odpowiedzieć. Nastawiamy uszu, czy nie słychać czego. Może zaczną strzelać. Głuch i ciemno. Gdzieś pod Medauarem słychać k.m., a tu nic. Ta cisza jest słabym pocieszeniem, bo świadczyć może równie dobrze o tym, że Włosi niczego nie przeczuwają, jak i o tym, że, spostrzegłszy naszych, chcą ich wciągnąć w pułapkę. Wieje zimny wiatr, a czuję, że mi gorąco, usta spieczono. Tyle zdrowia nie kosztowałyby największy wysiłek fizyczny. Zapewne o wiele spokojniejsi są w tej chwili koledzy, skradający się do nieprzyjaciela.

Dowódca pali papierosy jeden za drugim i klnie. Znowu telefon. Brygada znowu pyta, czy nie ma jakich wiadomości. Jak ciężko w takich wypadkach prowadzić rozmowę. Trzeba używać kryptonimów, których właśnie wtedy zapomina się. Dca baonu jest przekonany, że kompania nie zbłądziła, ale nie wyklucza, że skradanie się mogło jej zabrać więcej czasu, niż było przewidziane. Artyleria nie może strzelać, bo gdyby ogień jej zastał kompanię na przedpolu, rozbudzeni Włosi zniszczyliby ją bardzo szybko. Prowadzoną rozmowę cechuje niebywała nerwowość i podniecenie o tak dużym napięciu, że trudno to opisać. Tak samo trudno powtórzyć, co było mówione przez telefon, a czego się raczej domyślać można było z tych chaotycznych, oderwanych słów i niedokończonych zdań. Ostatecznie ustalono, iż artyleria rozpocznie ogień o godz. 3-ciej, w nadziei, że do tego czasu może odezwie się radio kompanii.

Biedny radiotelefonista stale usiłuje nawiązać kontakt i czyni wszelkie starania, aby nie zaniedbać niczego, co do niego należy. Sprawdza aparat, zwraca uwagę, że odbiera inne stacje, a tylko tak oczekiwanego głosu kompanii wypadowej usłyszeć nie może. Nie ulega wątpliwości, że zawiódł tamten aparat.

A może kompania jest już na miejscu i czeka się niepotrzebnie? Muszą wrócić przed świtem. A może jednak zbłądzili?

Wskazówki zegarka posuwają się. Już trzecia. Mjr. wyprasza jeszcze dziesięć minut zwłoki. Wreszcie wśród ogromnego napięcia mjr. Sikorski daje umówiony znak rozpoczęcia ognia. Wstrzymujemy oddech. Za kilka sekund daleki wystrzał i przeraźliwy gwizd jeden, drugi, dziesiąty. Pociski czterdziestu dział polskich padają na stanowiska włoskie.

Odezwali się już Włosi. Grają ich c.k.m.-y, moździerze, a oto przemówiła artyleria. Punkt obserwacyjny jest silnie ostrzeliwany. Jeden z czechskich żołnierzy ginie od pocisku moździerza. Niebezpieczeństwo nie odstrasza nas. Wpatrujemy się w stronę włoskiej „wioski”, stanowiącej cel wypadu. Na razie nic, ale oto widać tam jakieś gromadne błyski, w sekundach względnej ciszy dochodzą do nas odgłosy ognia karabinowego i wybuchy granatów ręcznych. A więc nasi są u celu.

Ktoś krzyczy do telefonu. W tym piekle ognia, w świetle neonów pocisków smugowych następuje odprężenie nerwowe.

Piekielko, stworzone przez naszą artylerię, która po kolei uspokaja poszczególne ośrodki ognia nieprzyjacielskiego, zaczyna powoli słabnąć. Mija godzina czwarta, jeszcze przenosi się ogień na poszczególne gniazda upła, ale powoli zaczyna przycichać. Szybko wycofujemy się na miejsce zbiórki kompanii. Zaczynają świtać. Telefonistów, którzy obciążeni sprzętem opuszczali punkt obserwacyjny, widocznie Włosi spostrzegli, bo ostrzelali ich z c.k.m.-u.

Przy pierwszych zorzach podchodzimy do miejsca zbiórki. Widać naszych i Australijczyków, których nasz wypad bardzo interesował. Wszyscy głośno rozprawiają. Jednak przeprawa przez jar zabiera więcej czasu.

„Gdyby artyleria rozpoczęła ogień o godz. 2.30, zastałoby nas to na przedpolu. Nie mogliśmy dać znać o sobie, bo radiotelefonista przy upadku zgubił antenę” — mówią nam.

Dwóch Polaków brakuje. Może się zbłąkali. Wdziano ich przy wycofywaniu się. Por. D. ranny. Poza tym wszystko w porządku. U rękawa jednego z naszych wisi, dosłownie wisi jeniec włoski. Jest bledak okropnie przestraszony.

Wracamy samochodami. Artyleria włoska ostrzeliwuje drogę. To nie przeszkadza ożywionej wymianie wrażeń. Wypad udał się.

„Pan był z dowódcą, — odezwał się do mnie któryś z wypadowców — przynajmniej nie zdenerwował się Pan, jak my, obawiając się, by artyleria nie zaczęła strzelać za wcześnie. Siedząc na punkcie obserwacyjnym, mógłbym wojować parę lat”.

WŚRÓD KSIAŻEK

OD KLACZKI DO SKULSKIEGO

Adam Mickiewicz. Konrad Wallenrod. Przełożył Szlomo Skulski. Odkładka projektu Zygmunta Kowalewskiego z Jerolim, Tarsisz, 1944. Str. 88

Ktokolwiek bywa w jednej z bibliotek publicznych w Jerolimie lub w Tel-Avivie, może zaobserwować dość często powtarzającą się scenę. Oto wchodzi do wypożyczalni jakiś dziesięcioletni berbecz (t. zw. „sabra” w gwarze palestyńskiej) i prosi o któryś tam tom autora, którego nazwisko brzmi w jego ustach dość pociesznie. Autor bowiem nazywa się najczęściej „Sinkiwic” — z akcentem koniecznym na zgłosce pierwszej, przy czym początkowa spółgłoska nie brzmi „mięko” (fachowo powiedzielibyśmy: palatalnie), ale brzmi tak, jak spółgłoska s w połączeniu z i, co występuje w języku polskim tylko bodaj jeden czy dwa razy, w wyrazie takim jak np. „sinologia”. Owemu chłopcu, który właśnie przyszedł wymienić książkę, o Polsce zaś wie ogromnie mało, — chodzi oczywiście o któryś z rozlicznych tomów Trylogii, jeśli nie o „Quo Vadis”, czy „W pustyni i w puszczy”. Wszystko to znajduje się tutaj w każdej bibliotece publicznej, najczęściej po kilka egzemplarzy, zczytanych do niemożliwości wskutek nadmiernego popytu — w doskonałym przekładzie hebrajskim znakomitego historyka i redaktora „Hacefiry” (pisma, założonego przez Chaima Zeliga Stonimskiego, dziadka Antoniego Stonimskiego) — E. N. Frenka i innych niemniej dobrych tłumaczy. W rozmowach z nauczycielami, właścicielami wypożyczalni, czy po prostu z rodzicami, okazuje się, że młodzież żydowska w Palestynie przepada po prostu za Sienkiewiczem, zaczytuje się w awanturkach przygodach pana Skrzetuskiego, szczególnie zaś zawiadająca postać Kmicica rozpala jej fantazję do białości.

Twórca Trylogii — którego nazwisko, z braku samogłosek w pisowni hebrajskiej i dźwięku „ś” w wymowie, tak trudno po hebrajsku odczytać — jest niewątpliwie najbardziej popularnym pisarzem polskim, udostępnionym hebrajskiemu czytelnikowi dzięki wzorowym przekładom, ale, oczywiście, nie jedynym pisarzem, tłumaczonym na język hebrajski. Przekłady bowiem z zakresu literatury polskiej pojawiają się w języku hebrajskim już z początkiem w. XIX, z chwilą gdy literatura hebrajska wyszła na szeroki świat pod wpływem prądów oświecenia (po hebrajsku: „haskala”) i pierwszych prób sekularyzacji żydostwa, po opuszczeniu ciasnych murów ghety. Ambicją pierwszych t. zw. „maskilów” (szermierzów oświecenia) było oczywiście tłumaczyć na język hebrajski Goethego i Schillera, szczególnie Schillera. Ale w Polsce tłumaczono i Mickiewicza. I choć to się może wydać komu dziwne, to jednak fakt jest bezsporny: oto jednym z pierwszych tłumaczy Mickiewicza na język hebrajski był nie kto inny, ale młody, początkujący liryczny hebrajski z ghetta wileńskiego, Jehuda Klaczko, późniejszy autor... „Wieczorów Florenckich” i sztandarowy przedstawiciel polskiej i katolickiej myśli konserwatywnej. W wydanym w r. 1842 zbiorze poezji hebrajskich Klaczki p. t. „Dudałm” (kwiat lubczyka) figuruje obok oryginalnych utworów lirycznych kilka przekładów z literatury europejskiej, a wśród nich mickiewiczowski „Farys”, shebraizowany przez Klaczkę jako „Ha-parasz” (jeździec). Nawiasem mówiąc, tenże „Farys” szczególnie jakoś pociągał tłumaczy: po Klaczce przekładany był jeszcze czterokrotnie na język hebrajski przez tłumaczy lepszych czy gorszych (Michael Josef Lebeson, Natan N. Samuelli, Ch. J. Bornstein i wreszcie J. Lichtenbaum, zarazem tłumacz „Pana Tadeusza”).

Po owych pierwszych próbach przekładano niektóre arcydzieła literatury polskiej na język hebrajski raczej przypadkowo i przypadkiem. Pojawiały się dwa przekłady „Ojca zadumionych”, kilka nowel Orzeszkowej oraz inne drobniaki, które przeważnie utonęły w rocznikach starych czasopiśmie. Punktem zwrotnym w tej dziedzinie jest powstanie w Moskwie (w r. 1918) wielkiego wydawnictwa Szybły, które obok innych celów, jak popieranie oryginalnej twórczości, zakładanie wielkich czasopiśmie literackich i t. d., postawiło sobie jako naczelną zadanie wydanie we wzorowych przekładach hebrajskich najcenniejszych utworów literatury światowej.

Szczególną troską fundatora na tak szeroką skalę założonego nakładu, Abrahama Józefa Szybły, było, ażeby wśród przekładów uwzględniane były w szerokiej mierze arcydzieła literatury polskiej. Sam Szybły zresztą ma w sobie coś z bohatera Sienki. Syn chasydzkiej rodziny spod Częstochowy, kształcony był za młodu na rabina, nie uśmiechał mu się jednak zbytnio zawód duchownego. Ambicje miał inne. Rozmiłowany w literaturze, którą czyta po kryjomu, marzył o tym, by zdobyć duży majątek i poświęcić go na założenie wielkiego wydawnictwa książek hebrajskich. Snuje rozległe plany, jakby młodą jeszcze literaturę nowohebrajską wyprawić do zaciągnięcia na szerokie tory europejskie. Planuje więc przede wszystkim wydanie w przekładzie hebrajskim głównych arcydzieł literatury światowej — od eposu starobabilońskiego „Gilgamesz”, poprzez Homera, Anakreonta i Sofoklesa — aż do Dantego, Szekspira, Goethego, no i Mickiewicza. Właśnie Mickiewicza.

Bo młody Szybły rozkochany był szczególnie w literaturze i poezji polskiej, którą jak najprędzej ujrzeć chciał we wzorowych przekładach hebrajskich.

Na ogół rzadko bywa, by spełniały się tego rodzaju marzenia skromnego człowieka z małej miejsciny — o karierze mecenasa literatury w wielkim stylu. Szybłowi szła karta znakomicie. Losy wojenne zagnały go zaraz w początkach tamtej wojny światowej do Moskwy. Młody, niezwykle przedsiębiorczy i energiczny uchodził za wojenny doradca i w Rosji wielomilionowej fortuny. Jest jednym z największych hurtowników branży skórnicy. Filie firmy sięgają do Kopenhagi, Londynu, Nowego Jorku. Nie zapomina jednak Szybły o wielkiej namętności swego życia, o literaturze. Wydawnictwo, które powołał do życia, mając do pomocy jednego z najwybitniejszych pisarzy hebrajskich, Dawida Friszmana, imponuje rozmachem — szczególnie właśnie w dziedzinie przekładów z literatury światowej. Mam przed sobą oryginalny projekt wydawnictwa z r. 1918 w Moskwie. Z literatury polskiej figurują tutaj zapowiedzi wydania w przekładzie hebrajskim całego „Pana Tadeusza”, „Irydionu”, wszystkich powieści historycznych Sienkiewicza, „Chłopów” Reymonta, szeregu dramatów Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Żuławskiego i innych autorów. Niezależnie od tego potężny objętością kwartalnik literacko-naukowy „Hatku-fa” (epoka), też wydawany przez Szybłę, drukował przekłady szeregu drobniejszych utworów poetyckich z dziedziny literatury polskiej: kilka mickiewiczowskich ballad, poematy Słowackiego (m. in. piękny przekład „W Szwajcarii”, pióra Jechiela Rosenzweiga). Wszystkie niemal zapowiedzi projektu z r. 1918 zostały z biegiem lat spełnione z nawiązką. Ukoronowaniem działalności w tej dziedzinie było pojawienie się pierwszych sześciu ksiąg „Pana Tadeusza” w pięknym tłumaczeniu J. Lichtenbauma (pozostałe sześć są gotowe do druku) oraz wspaniały przekład tak ogromnie trudnego do tłumaczenia na każdy inny język, a cóż dopiero hebrajski — „Wesela” Wyspiańskiego. Przekład ten, pióra B. Pomeranca, pojawił się tuż przed wojną nakładem Szybły w Warszawie (Szybły, nie mogąc kontynuować swej działalności wydawniczej za rządów bolszewickich w Rosji, przeniósł swój nakład do Warszawy, tworząc zarazem oddziały w Nowym Jorku i Tel-Avivie). Bliski krewny milionera-wydawcy opowiadał mi, że Szybły, dostawszy do ręki pierwszy egzemplarz przekładu „Wesela”, — tańczył dosłownie z radości.

Powiedziałem, że Szybły, to poniekąd postać z powieści. Z powieści typu Balzaca. Wielokrotnie milioner traci raz po raz olbrzymi swój majątek, którego znaczną część lokuje w literaturze. Raz jest na wozie, raz pod wo-

zem. Przez kilka lat przed wojną widzi go w Polsce. Tu po raz drugi traci miliony, emigruje do Ameryki, znów dorabia się milionowej fortuny, i teraz właśnie, jak słycać, marzy o wznowieniu działalności wydawniczej. Teraz pono nęci go wydanie po hebrajsku całego Żeromskiego. I można być spokojnym o to, że zrealizuje swe zamiary.

Na terenie Palestyny pojawiło się w ciągu lat ostatnich szereg przekładów hebrajskich, głównie z zakresu współczesnej poezji polskiej. Żyjący w jednym z osiedli wiejskich w Galilei młody, bardzo utalentowany poeta hebrajski, Benjamin Tennenbaum, wydał w pięknym przekładzie „Hymny” Wittlina oraz zamieścił po czasopiśmie literackich wiele przekładów swego pióra z poezji Kasprowicza, Staffa, Tuwima, Stonimskiego, Broniewskiego i in. Tenże poeta-tłumacz może poszczycić się nieładą osiągnięciem: przetłumaczył całego Tuwima i czeka teraz na wydawcę. Poza tym przetłumaczył Tennenbaum „Piomienie” Brzozowskiego i Wittlina „Sól ziemi”. Obecnie przygotowuje (do spółki z Broniewskim) antologię przekładów polskiej liryki wojennej. Broniewski, Tuwim, Stonimski, Pawlikowska czy Baliński znaleźli poza tym kilku innych, bardzo uzdolnionych tłumaczy, by wymienić tylko P. Landera, A. Lewinsona, D. Stocka i innych.

Kronika literacka ostatnich dni notuje wydarzenie na miarę wydania „Wesela” czy pierwszej części „Pana Tadeusza” po hebrajsku. Wydawnictwo jerozolimskie „Tarsisz”, znane z bibliofilskiej szaty zewnętrznej wydawanych przez siebie książek (m. in. szereg dramatów Szekspira i „Pieśń” Dantego) wypuściło w tych dniach na rynek pełny przekład hebrajski „Konrada Wallenroda”, dokonany przez młodego poetę, Szlomo Skulskiego.

Ogrom pracy włożył tłumacz w swe dzieło, które zajęło mu przeszło rok czasu. Trudno w ramach tego pobieżnego raczej szkicu wdawać się w szczegółową ocenę filologiczną przekładu. Wystarczy stwierdzić, że młody i ambitny tłumacz osiągnął maksimum tego, co dało się w tego rodzaju trudnym i odpowiedzialnym zamierzeniu literackim osiągnąć. Przekład jest zadziwiająco ścisły i wierny, tłumacz nie uroził żadnej myśli, żadnego obrazu, a przy tym potrafił postawić przekład na wysokim poziomie prawdziwego artysty. Szczególnie niektóre fragmenty wypadły znakomicie, jak na przykład „Hymn” („Duchu, światło boże! Gołębko Syonu!”), w którym pewne elementy biblijne nabrały w szacie hebrajskiej nowego, niespodziewanego blasku. Tłumacz miejscami zadziwia wprost mistrzostwem środków poetyckich. Chwilami czyta się przekład, nie czując po prostu, że to nie oryginał — a to chyba najwyższy komplement, jaki o przekładzie można powie-

dzieć. Rytym wiersza odpowiada ściśle rytymowi oryginału, rymy są śmiałe i efektowne. Nawet do wyrazu „Wilna” (Wilno) znajduje z łatwością tłumacz rym, rozdzielną „nagil-na” (radujemy się), do „Kowna” — zjawia się posłusznie rym — „tasowna” (krąży).

Dla znawcy hebrajszczyzny, a nawet i nie dla znawców — dwie małe próbki. Oto np. początek „Alpuhary”:

Ocmat ha-Maurim ad heres nir'ada,
Haam bi'kwalaw szach mi'ssewer,
Ach od mitgonen hammiwcar szel Grenada,
Ulam b'Grenada haderew.

A oto pierwszy wiersz opowieści Wajdeloty „Skąd Litwini wracali” (próba heksametri):

Meafin szawim b'ne Lita?
Mi'cajid szawim hem balajil...

Pochwaliwszy tak bardzo sam przekład, trudno — w imię sumienności recenzenta — nie zganić nieścisłej i miejscami bałamutnej przedmowy, którą tłumacz uważał za stosowne doskonały swój przekład poprzedzić. W szkicu, informującym o życiu i twórczości Mickiewicza, co krok napotyka się na przykre i rażące gaffy i nieporozumienia. A przecież chociażby w doskonałej hebrajskiej „Encyklopedii Literackiej” B. Krupnika mogłby tłumacz sprawdzić rzeczy wątpliwe, — uniknąłby wtedy przykrych wpadunków, w rodzaju informacji, że „tam (w Rzymie) wśród emigrantów polskich poznał poeta siedemnastoletnią Henriettę Ewę, która budzi w jego sercu uczucia miłości i występuje potem jako bohaterka w „Panu Tadeuszu...” i t. p. Kompromitacją w dużym stylu jest pisanie w paru miejscach o dramacie Mickiewicza p. t. „Ojcowie” (Awot). Oczywiście chodzi o „Dziady”. Nie wiedząc, jak nazwę tę przetłumaczyć (we wspomnianej encyklopedii Krupnika, w artykule o Mickiewiczu, występują „Dziady” jako — „Dzień Zaduszny” — „Jom Azkarat Haneszamot”), — tłumacz zdecydował się na najmniej udany pomysł.

Przedmowa przedmowa, ale jak się rzekło, sam przekład jest wysokiej klasy. Tłumacz zadekował go pamięci Włodzimierza Zabo-tyńskiego, wielkiego przywódcy syjonistycznego, świętego pisarza, poety i tłumacza, który „Konrada Wallenroda” zaliczał do rzędu trzech najbardziej ulubionych przez się arcydzieł literatury światowej (dwa dalsze, to „Kruk” Poe'go i „Legenda o Fritiofie”).

Przekład hebrajski litewskiej powieści poetyckiej Mickiewicza ma z wielu powodów szansę zdobycia wśród młodzieży żydowskiej tej popularności, jaką od dawna już cieszą się w Palestynie bohaterowie sienkiewiczowsy. dl

ANGIELSKA HISTORIA SPOŁECZNA

English Social History. A Survey of Six Centuries, Chaucer to Queen Victoria. By G. M. Trevelyan. O. M., Master of Trinity College of Cambridge. Londyn, Longmans, Green and Co., 1944. Str. XII i 628.

Tradycja zarysów historycznych, usuwających na dalszy plan dzieje dynastyczne, a nawet w ogóle historię polityczną, a skupiającą uwagę czytelnika przede wszystkim na historii społecznej, jest w Anglii stara i bogata. Wystarczy przypomnieć, że jedno z arcydzieł historycznej literatury angielskiej, wydana przed siedemdziesięciu laty „A Short History of the English People” Johna Richarda Greena, jest właśnie książką tego typu.

„Short History” Greena przez długie dziesięciolecie była najpopularniejszą historią Anglii dla Anglików. Dopiero w roku 1926 zdetronizowała ją inna książka: „History of England” profesora z Cambridge, George'a Macauley Trevelyana. Książka ta za jednym zamachem zdobyła sobie tak wielką poczytność, że w tymże samym 1926 roku wyszły jeszcze trzy jej nowe wydania. Od tego czasu przedrukowuje się ją bez przerwy. Bez przesady powiedzieć można, że świat anglosaski widzi dziś historię Anglii przede wszystkim oczyma prof. Trevelyana.

Jest to też bardzo tęga książka. Nie jest to podręcznik sensu stricto. Zakłada ona u czytelnika już pewną znajomość elementarnych faktów. Zato taki czytelnik znajdzie tu świeżość, oryginalną dyskusję na temat zasadniczych zagadnień politycznej, gospodarczej i społecznej historii angielskiej, przedstawioną w sposób, świadczący o wielkim talencie literackim autora. Skala tego talentu jest rozległa. Prof. Trevelyan ma z jednej strony duże wyczucie dla tego, co jest patosem historii, wielkością historycznych wydarzeń i umie ją czytelnikowi zasugerować, a z drugiej zaś strony, mimo iż pisze o wielkich problemach polityki światowej, nigdy nie spuszcza z oka „szarego” — a w gruncie rzeczy bardzo „kolorowego” — przeciętnego obywatela, tak jak się on w zmiennej perspektywie historii prezentuje: co czuł, co myślał, jakie czynniki kształtowały jego umysłowość i charakter.

Gra tych dwóch perspektyw — zabiej i orlej — zadecydowała o wielkiej żywoci książki prof. Trevelyana i o jej wyjątkowej poczytności.

Obecnie tej właśnie historii „szarego” człowieka poświęcił prof. Trevelyan specjalną książkę „English Social History”. Jak pisze w przedmowie, początkowo miał zamiar objąć w niej całość historii angielskiej, od czasów rzymskich. Wojna jednak i związane z nią trudności w pracy naukowej sprawiły, że ograniczył ramy czasowe swej książki, rozpoczynając jej narrację od czasów Chaucera, t. j. od połowy XIV w. Książka to, co straciła na rozpiętości czasowej, zyskała na jednolitości ujęcia, od XIV w. bowiem źródła są na tyle bogate, że pozwalają na wycieniowanie obrazu.

Historię społeczną prof. Trevelyan zdefiniował dosyć nonszalancko, „negatywnie”, jako „to, co pozostanie z historii narodu, kiedy się z niej wyrzuci politykę”. Nie jest to najściślejsze określenie, ale ma zato tę zaletę, że jest proste. Znaczenie tej historii ujęto w książce z dwóch punktów widzenia: z jednej strony historia ta zaspokaja naszą ciekawość, jak wyglądało życie codzienne w przeszłości, z drugiej dopiero w połączeniu z historią społeczną historia gospodarcza nabiera życia, a polityczna — sensu: „bez historii społecznej historia gospodarcza jest jałowa, a historia polityczna — niezrozumiała”.

Takie postawienie sprawy ma w sobie więcej słuszności, niż to potocznie przyjmuje. Najjaśniej uświadomić to może czytelnikowi przykład z historii Polski. Oto publiczności nasi mają tendencję do wnioskowania o znaczeniu politycznym Polski XVI wieku wyłącznie z wielkości jej obszaru. Dopiero jednak uwzględnienie stosunków ludnościowych pozwala ocenić te rzeczy we właściwej proporcji. Okaże się wtedy, że pod koniec XVI w. Polska wraz z Prusami miała ludność zaledwie około 3 milionów, Włochy — 13 milionów, Hiszpania — ponad 8 milionów, a Anglia z Walią ale bez Szkocji — około 4 milionów*). Dopiero u-

*) Por. tabelę w książce Preserved Smitha, The Age of Reformation, New York, 1920, str. 453, ułożoną na podstawie obliczeń G. Belocha.

względienie tego czynnika tłumaczy nam, dlaczego mimo poszczególnych zwycięskich bitew większość kampanii wojennych Rzplitej XVI w. poszła na marne: dla ich efektywnego przeprowadzenia do końca brakło odpowiednio szerokiej bazy ludnościowej.

Wróćmy jednak do książki prof. Trevelyana. Talent autora sprawił, że pod jego piórem „English Social History” uniknęła niebezpieczeństwa, na jakie łatwo narażone są tego typu książki syntetyczne: niebezpieczeństwa antykwarycznego nagromadzenia drobnych szczegółów. Prof. Trevelyan posiada bowiem niemal spontaniczny dar tłumaczenia na język konkretnych obrazów rozważań na temat stosunków społecznych. Oto jeden z wielu przykładów. Autor mówi o wielkiej płynności stosunków społecznych Anglii elżbietańskiej, poczem pisze o elżbietańskim gentlemanie: „Powinien on dawać duże napiwki, niebyłby dokładnie sprawdzał rachunki i pamiętać, że przywilejem gentlemana jest być stroną przegrrywającą przy dobijaniu targu. Jeśli warunkom tym uczyni zadość, jego niefrasobliwi i uprzejmi kramiarze będą na jego widok zdejmwali czapki i będą go tytułowali „master” — choć za jego plecami będą mówili, że pamiętają, jak jego ojciec, Panie, świeć nad jego duszą, jeździł na targ, siedząc okrzakiem na worach ze zbożem”. — Trudno nie czytać jednym tchem takiej historii.

Inaczej niż w historii politycznej tutaj firmowymi dla poszczególnych epok postaciami są przede wszystkim pisarze. W książce znajdziemy rozdziały o Anglii Chaucera, Caxtona, Shakespeare'a, Defoe'go, dra John-sona (tej ostatniej poświęcił autor najwięcej miejsca) i Cobbetta. Nie jest to jednak wcale jakaś historia literatury, ujęta z perspektywy jej aspektu społecznego. Cytaty literackie mają tu znaczenie tylko ilustracji zasadniczego tekstu. Zato trudno o lepsze wprowadzenie w lekturę starszych pisarzy angielskich, w atmosferę kulturalną, z której wyrósł. I w ogóle trudno dość gorąco polecić tę książkę czytelnikowi, który chce żyć się z kulturą angielską.

ww.

POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

Ucieczka Henryka Walezjusza

Ronsard. By D. B. Wyndham Lewis. Londyn, Sheed & Ward, 1944. Str. XI i 1nl. i 340 i tabl. 6.

W świetnej monografii Ronsarda, D. B. Wyndham Lewis — w związku z opisem stosunków na dworze andegawickim — poświęca kilka stron awanturze polskiej Henryka Walezjusza. Wybór Henryka na króla Polski uważa autor za dalszy objaw eksperymentowania w ulubionym przez Polaków systemie rządzenia, który z dzisiejszego punktu widzenia jest bezsprzecznie „demokracją z natchnieniem”. Śmierć Zygmunta Augusta, ostatniego z dynastii jagiellońskiej, która zapewniła Polsce złoty wiek rządów liberalnych (przy czym słowo „liberalny” — oznacza Wyndham Lewis — należy brać w jego szlachetniejszym sensie), umożliwiła Polsce, do tego czasu rządy rządy pod rządami królów dziedzicznych, przejście do ustroju, opartego na królach elekcyjnych. Pacta conventa z Henrykiem Walezjuszem są interesujące. Król musiał m. in. zaprzysiąc, że nie wypowie wojny bez zgody sejmowi i że będzie wierny zasadom tolerancji religijnej, dzięki której Polska, „narod, przedtem jak obecnie, najgorliwiej katolicki, zasłynęła jako azyl heretyków, „Asylum Hereticorum”, gdy otworzyła granice dla wygnanych przedstawicieli wszystkich sekt i zapewniła im całkowitą wolność, podobnie jak Żydom”. Pacta conventa, które nie bardzo harmonizowały z pojęciem królewskości, nie musiały iść w smak kapryśnemu egotysty, jakim był Henryk Walezjusz. Zgodził się na nie zapewne nie bez wahań i protestów, pod naciskiem swojej despotycznej matki, Katarzyny Medicis, odrzucając tylko klauzulę o małżeństwie ze starszą od niego o lat dwadzieścia siostrą Zygmunta Augusta.

Tak więc — ciągnie Wyndham Lewis — z niechęcią udawał się Henryk Walezjusz na najbardziej zakazane pustkowia. Ale wbrew opinii poety francuskiego Philippe'a Desportes, nie było to znowu takie pustkowia. Odrodzenie ogarnęło Polskę, Kraków rozwijał się architektonicznie i umysłowo. Kopernik zrewolucjonizował astronomię, nowinki kwitły (mimo że uniwersytet krakowski, jeden z najstarszych w Europie, podobnie zresztą jak Sorbona, im się przeciwstawił), a poeci, jak Krzycki, Janiejusz, Dantyszek, nade wszystko zaś Kochanowski, nie dali się nikomu w Europie prześcignąć w znajomości łaciny. Kochanowski, nazywany Ronsardem Polski i je-

den z najgorętszych entuzjastów Ronsarda, musiał się przyglądać wymuszanemu Desportesowi z małą sympatią. Wkrótce nadarzyła się okazja do przetrzepania go po palcach, ku uciesze Europy.

Rzecz prosta, że ani Kraków, ani Warszawa nie zasługiwały w owych czasach na przezwisko drugiego Paryża i nie mogły przypaść do gustu rozpieszczonym francuskim dandydom. Ówczesna Polska — błota, lasy, zaniedbane drogi, nędzne wsie i miasta, na pół barbarzyński wygląd chłopów, Żydzi, kolekcja heretyków (assorted heretics) — musiała przysparzać Francuzów o dreszcze. Desportes — można niemal słyszeć jego protesty, wydziewiania i wykrzykiwania się, „niczym mały na wietrze wschodnim” — zapewne wcześniej zaczął lżyć Polaków jako nędzarzy, barbarzyńców, pyszałków i pleciugi. Narazie — z rozkazu króla — milczał, notował i przetwarzał swoje wrażenia na wytworne sonety satyryczne.

Także entuzjazm Polaków zmniejszył się po przybyciu króla. Pobłażliwa uprzejmość Henryka i jego świty, próba zaszczepienia na Wawelu sodomskich obyczajów (Wyndham Lewis poprzednio już zaznacza, że obecność ambasadorów Sodomy i Gomory oraz ministra pełnomocnego Lesbos na francuskim dworze Henryka III nie mogłyby się wydawać rzeczą dziwną), demonstracyjnie objawiane przez nowego monarchę znużenie wielogodzinnych obradami sejmów — wszystko to w krótkim czasie przekonało Polaków, że z „europejskiej talii” nie najlepszą wyciągnęli kartę.

Autor daje z kolei malowniczy opis ucieczki Walezjusza na wieść o śmierci Karola IX; cytuje wiersz Desportes'a „Adieu, Pologne...” i tak kończy: „Najbardziej obelżywy, nieszlachetny exit, niegodny Walezjusza i napewno nie charakterystyczny dla Henryka Andegawenicyzma, któremu nie brakło ani wdzięku, ani wychowania. Słuszny gniew i wzgardę Polaków ukazał umiejętnie światu Jan Kochanowski, który pozostał łagodnym zwycięzcą w wynikłym stąd pojedynku poetyckim z Desportes'em; do satyrycznego wiersza „De electione, coronatione et fuga Galli” („O elekcji, koronacji i ucieczce Francuza”) niewiele dałoby się dodać. W najbliższym roku mądrzejszy sejm obrał królem Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego, który rzucił Iwana Groźnego na kolana i byłby zdruzgotał Moskwicę na kamiennym sercu, gdyby nie interwencja papieża”.

wyrażając uczucia braterstwa broni z załogą dwóch małych statków polskich w walce o wspólną sprawę.

Po „Gromie” przysła kolej na „Burzę”. Trafiona dwiema bombami w czasie operacji ewakuacyjnych z Calais w maju 1940 r., dowódca się do Dovru, by stamtąd udać się do doków reperyacyjnych w Portsmouth. „Byskawica” brała udział w ewakuacji Dunkierki, rejestr jej dokonań w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy wojny wygląda, jak następujący: 27 operacji zaczepnych, 1 bitwa morską, 23 konwoje, 3 bitwy z nieprzyjacielskimi bateriami nadbrzeżnymi, 56 patroli, 17 potyczek z nieprzyjacielskimi siłami nawodnymi, 13 potyczek z nieprzyjacielskimi okrętami podwodnymi, 56 ataków samolotów nieprzyjacielskich.

Zatopienie 10.000-tonowego transportowca „Rio de Janeiro” było najwybitniejszym czynem „Oria”. Dnia 23 maja 1940 r. „Orzeł” wyruszył na patrol w wodach Skagerraku. Z patrolu tego nie wrócił. „Wilku” przeżył fantastyczne zderzenie z niemiecką łodzią podwodną; wyszedł z niego cało, przypuszczalnie pozostawiając nieprzyjaciela na dnie morza.

Mimo strat marynarka polska na obczyźnie rozwija się w dalszym ciągu. Skład osobowy powiększyły załogi okrętów szkolnych „Iskra” i „Wilja”, które wojna zastała na morzu Śródziemnym, zewsząd napływają ochotnicy: 300 z armii polskiej we Francji, 200 z armii polskiej w Anglii, 100 z Ameryki Północnej, 100 z Ameryki Południowej, później około 1000 z Rosji. Jeszcze przed zatonięciem „Gromu” marynarka polska powiększyła się o „Garlanda”; „Grom” zastąpiła „Nerissa”, przemianowana na „Piorun”; przybyły trzy kontrtorpedowce: „Kujawiak”, „Ślajak” i „Krakowiak”; na miejscu „Oria” pojawił się „Sokół”; pozyskano amerykański okręt podwodny „Jastrząb” oraz „Dzika”. Na życzenie rządu polskiego w uznaniu zasług bojowych „Garlanda” nazwy jego nie zmieniono na polską. „Garland” — już z polską załogą — brał udział w zatopieniu „Bartolomea Colleoni” przez „Sydney”, w działaniach w wybrzeży Kalabrii, w konwojowaniu statków pomiędzy Haifa i Aleksandrią, pomiędzy Port Saidem i Maltą, w obronie wybrzeży Grecji przed najazdem włoskim. We wrześniu 1940 r. „Garland” zjawił się na Atlantyku. Tu pełnił dalej chwalebne służbę — na przestrzeniach od Reykjaviku w Islandii do Halifaxu w Nowej Szkocji. Od maja 1940 r. do lipca 1943 r. „Garland” przebył 180.000 mil — mało statków może poszczycić się takim rekordem.

„Piorun” zapisał się szczytnie w pościegu za „Bismarckiem”: pierwszy z całej flotyli kontrtorpedowców dostrzegł pancernik niemiecki. Ale i „Bismarck” dostrzegł „Pioruna” i otworzył ogień ze wszystkich dział. Kapitan „Pioruna”, komandor Pławski, coraz bardziej zbliżał się do „Bismarcka”: „Dawid przeciwko Goliatowi — „Piorun”... odpowiedział na wyzwanie niemieckie” — pisze Divine. Po zatopieniu „Bismarcka” pomiędzy kapitanem Vian, komendantem flotyli kontrtorpedowców, a komandorem Pławskim nastąpiła wymiana depesz. Vian: „Serdecznie wieszczę pierwszemu z naszych okrętów, który dostrzeże nieprzyjaciela. Mam nadzieję, że będziecie z nami w najbliższej akcji”. Pławski: „Jesteśmy dumni, że byliśmy z wami, i będzie dla nas największym zaszczytem, jeśli pod komendą pana weźmiemy udział w akcji przeciwko „Tirpitzowi”.

Autor daje opis akcji konwojowej „Ślaka”, pomocy udzielonej przez „Burzę” kutrowi amerykańskiemu „Campbell”, wyprawy murmańskiej „Garlanda”. W jednej z bitew z niemieckimi okrętami podwodnymi zatonał „Harvester” (kapitan: komandor A. A. Tait). W odpowiedzi na list kondolencyjny brat komandora, prof. Tait, napisał: „Miesiąc temu spotkałem mego brata w Londynie; mówił w słowach najwyższego uznania o grupie, którą miał zaszczyt dowodzić... Pamiętam, że wspominając o marynarzach polskich, powiedział: „Każdy z nich jest bohaterem”.

Kontrtorpedowce polskie brały udział w wyprawie na Lofoty (grudzień 1941), w wy-

padzie na Dieppe (sierpień 1942), w osłanianiu konwojów do Murmańska i na Maltę, przy czym „Ślajak” wraz z jednym z brytyjskich kontrtorpedowców może poszczycić się największą ilością samolotów, zestrzelonych w r. 1942.

Z okrętów podwodnych „Jastrząb” zginął na Arktyku, „Sokół” odznaczył się chlubnie na morzu Śródziemnym (ma za sobą swego rodzaju rekord: w ciągu 58 dni służby na morzu 930 godzin spędził zanurzony), „Dzik” zatopił 25.000 ton statków nieprzyjacielskich.

Jednostek polskich nie zabrakło w kampanii północno-afrykańskiej: „Byskawica” osłaniała m. in. lądowanie wojsk francuskich w Sidi Ferrach. „Piorun”, „Krakowiak” i „Ślajak” były w armadzie sycylijskiej. „Piorun” ostrzeliwał Reggio, przy czym raport z tej akcji przesłał do komendy polskiej marynarki wojennej w Londynie we włoskiej kopercie urzędowej z napisem... „Reggio Instituto Fascisto per Commercio Estero”. Późniejszą stratę „Pioruna” powetował nowy kontrtorpedowiec „Orkan” oraz pierwszy krążownik floty polskiej „Dragon”.

Pięć okrętów polskich — kończy Divine — uszło z Bałtyku w r. 1939. Z tych dwa zatonały. Ale marynarka polska, silniejsza niż kiedykolwiek, cieszy się „niezrównanym imieniem”. Miarą jej osiągnięć jest ilość odznaczeń brytyjskich, jaką uzyskali marynarze polscy: 11 D.S.O., 11 D.S.C. i 16 D.S.M. A wiemy, że „marynarka brytyjska odznaczeniami łatwo nie szafuje”.

O odwadze Polaków

The Incredible City. By Robert Henry. Londyn, J. Dent, 1944. Str. 6nl. i 195 i 3nl. i tabl. 8.

W książce Henry'ego, która daje barwny obraz Londynu czasu wojny, znajdujemy — podobnie jak w wydanej przed dwu laty tegoż autora „A Village in Piccadilly” (o Shepherd Market) — liczne wzmianki o Polakach i Polkach, z którymi autor się zetknął, których widział i słyszał lub obserwował.

Z okazji tragicznej śmierci gen. Sikorskiego Henry cytuje opowiadania pewnej Bretonki, która — pełna „podziwu dla tej dzielnej rasy” — spotykała się z Polakami w czasie swego pobytu w Madrycie: „Wielu z nich miało już za sobą straszliwe przeżycia, ale natychmiast po przybyciu robili wszystko, by jechać dalej, a gdy informowano ich, że mają czekać kilka dni na bezpieczną podróż, rzucali okiem na mapę i tego samego dnia wyruszyli na piechotę do Lizbony”. Znana jest bajka o Tomciu Paluchu, porzuconym przez rodziców w lesie i znaczącym sobie powrotną drogę przy pomocy kamyków czy okruszyn chleba. Pewna młoda Polka odbywała

podróż z Madrytu do Lizbony w towarzystwie kilku rodaków. Gdy trzeba było zorientować się w położeniu, zostawiała towarzyszy, ukrytych w lesie, sama zaś udawała się do pobliskiego miasteczka. Wiązanki kwiatów, porzucane na ścieżkach i przywidywane do gałęzi drzew, wskazywały jej potem drogę do kryjówek.

„Są ludzie, którzy mówią o tej pogardzie dla niebezpieczeństwa jako o nowym rysie w charakterze Polaków”. Ale nie jest to prawda — zaznacza Henry, przypominając fragment z pamiętników księżnej Abrantes, poświęcony wędrowce 18-letniego oficera nazwiskiem Leszczyński (Leszczyński?) z Madrytu do Lizbony. Przebrał się za Rosjanina, ale wejska gen. Castanos schwyciła go na trzeci dzień. Poznał go pewien chłop, który dostarczał furażu do Madrytu dla armii francuskiej i któremu właśnie Leszczyński wydał pokwitowanie. Jeńca poddano tygodniowemu torturowi, zastawiano najprzemysłniejsze pułapki — „niewiarygodna sang-froid ocalała Polaka”. W końcu uwierzono jego zeznaniom i pozwolono na dalszą wędrowkę do Lizbony.

Pies, który umiał po polsku

No bombs at all. Some Short Stories of the Royal Air Force by C. H. Ward Jackson. With Wood Engravings by Biro. Londyn, Sylvan Press, 1944. Str. 123 i 5nl.

W zbiorze 12 opowiadań Ward-Jacksona z życia Królewskich Sił Powietrznych jedno nosi tytuł: „The Dog Who Speaks Polish”. Jest to wzruszająca historia o psie Miszce, adoptowanym przez polski dywizjon lotniczy. Włożona jest w usta sierżanta, który przez pewien czas przebywał na kursie w Uxbridge, gdzie ów dywizjon stacjonował. „Straszliwe” trzaskanie obcasami i „śmieszny” zwyczaj sztywnego przeginania się w pasie przy ukłonie, ostry sposób zabierania się do kobiet, początkowo drażniły Anglików. Ale po wypadku na lotnisku, kiedy jeden z Polaków uratował życie kapralowi brytyjskiemu, sytuacja się wyjaśniła. Polacy przedzierzgnęli się w Stanlich, Nicków i Henrich. W czasie lotów bombowych pracowali jak kulisi, po powrocie — umieli się bawić: tańczyli do świtu, a śpiewy ich mogłyby zbudzić umarłych. Poza tęsknotą do najbliższych — dokuczała biedakom brak dwóch rzeczy: wódki i polskich potraw: „...o piwie nie mają dobrego pojęcia”.

Pewnego dnia jeden z kaprali przyprowadził na sznurku psa-przybłądę, kundla czy też mieszana. Napojono go i nakarmiono, lecz na drugi dzień pies zniknął. Odnalazł się kilka tygodni potem u boku polskich mechaników w hangarze. Szczekał, jakby wzywając Polaków do przerwania roboty i do rozpoczęcia zabawy. „Więc Polak wydał rozkaz — po polsku! A pies przysiadł i zaczął szużyć. Wtedy mechanik powiedział co innego. Pies podniósł się i zaczął z wolną iść w tył! Znowu zamamrotał, pies położył się i zaczął turlać się jak beczka! Na Boga żywego, było w tym coś niesamowitego. Przysięgam, że pies nie mówił po polsku, kiedy go ostatni raz widziałem!”. Sierżant próbował odezwać się do Miszki po angielsku — ale pies nie reagował. Najprzejdziwniejsze sztuczki — „stawał niemal na głowie” — robił tylko na polską komendę.

Towarzyszył dywizjonowi na rannych zbiórkach, asystował przy wypłatach gaży, podczas nabożeństw niedzielnych wystawał u wejścia do kościoła, niekiedy brał udział w lotach, przy czym imię jego najstaranniej wpi-

sywano do odpowiedniej rubryki „log”u. Kiedyś nawet zauważono go na polskim koncercie. Mieszkał we własnym domu, zrobionym ze starych skrzyń — „reminiscencja polskiego dworu”.

Obróż Miszki zdobyły drewniane miniaturowe medale bomb. „To fakt! Rozmawiałem o tym z jednym z „Polskich” i dowiedziałem się, że Miszka dostawał nową bombę za każdym razem, kiedy udawał się na wyprawę. Co za naród!” — zaznacza sierżant.

Pewnej nocy załoga, z którą Miszka poleciał, nie wróciła. Dywizjon polski przeniesiono gdzie indziej: „...załowaliśmy, że odchodzimy, a pomiędzy Waafkami było trochę płaczu — jedna lub dwie wyszły za mąż za Polaków”.

Mniej więcej w dwa miesiące potem policja jednego z miast w północno-wschodniej Anglii doniosła, że przybłąkał się pies, na którego obroży znajdowała się blaszka z nazwą lotniska w Uxbridge. Nie było wątpliwości, że chodzi o Miszkę, i wkrótce pies znalazł się z powrotem na lotnisku. Był bardzo zbiedzony, kości przeświecały mu przez skórę, nie mógł nie przełknąć. Ocalenie zawiązywało zapewne zdolnością pływackim rasy (Schipperke), której krew płynęła w jego żyłach. Zawiadomiono polski dywizjon i dwóch lotników wraz z kpt. Radnowskim zjawili się po psa. Po raz pierwszy Miszka zareagował na ludzi słabym machnięciem ogona. Sierżant nie chciał wierzyć własnym oczom, gdyż przede wszystkim dokonał ceremonii przyłączenia na obroży dziewiętej bomby, po czym psa zabrano — na rękę, nie był bowiem w stanie utrzymać się na nogach. A sierżant otrzymał na pamiątkę srebrną odznakę: sokoła w locie, z laurowym wiankiem w dziobie.

Scrutator

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego

RÓŻA WIATRÓW

wydanie drugie

Cena 200 mlsów.

OPINIE ANGIELSKIE

Sprawa Warszawy

Fakty bywają bardzo trudne do ustalenia. George Orwell powiedział raz w „Tribune” anegdotę o tym, jak Sir Walter Raleigh, który siedział w Tower London, — tej niezburzonej londyńskiej Bastylii, — postanowił napisać historię świata. Pewnego dnia, gdy pisał już drugi jej tom, zobaczył przez okno swojej celi bójkę między dwoma robotnikami. Bójka zakończyła się zabiciem jednego z nich. Sir Walter Raleigh zainteresował się tą sprawą i wypytywał wszystkich o powody bójki, której sam był świadkiem. Jednak mimo iż wypytywał bardzo usilnie, nie umiał dociec prawdy. Wobec tego spalił napisany tom historii.

Sprawa Warszawy miała, niestety, w Anglii podobne perypetie. (Mówiąc „sprawa Warszawy”, mam na myśli nie powstanie w Warszawie, ale te wszystkie debaty, polemiki, apele, głosy uznania, głosy potępienia i t. d., które powstanie w Warszawie wywołało w brytyjskiej opinii publicznej). Reakcje opinii angielskiej na powstanie w Warszawie obserwowałem od pierwszego dnia. Gazety są dostępne dla wszystkich i każdy Polak powinien znać już na tyle język angielski, aby umieć przeczytać gazetę. Niestety, przydarzyło się nam coś podobnego co Sir Walter Raleighowi. Chociaż sami obserwowałem „sprawę Warszawy” i choć bardzo żywo nas każde w tej sprawie wypowiedziane słowo interesowało, to jednak ocena nasza wypadła tak rozmaicie i tak kłóci się z faktami, że przez filtr odległości mogą te sprawy wyglądać na środkowym Wschodzie znacznie gorzej niż wyglądają w Londynie.

Tym samym stwierdzamy, że w Londynie wyglądają źle!

Pierwszym faktem, który zaważył na polskim myśleniu, była broszura Lityńskiego p. t. „Warsaw — a Warning!”. Broszura ukazała się w połowie sierpnia i choć w dniu jej ukazania się szybko biegające fakty przedawniły w znacznej części zarzuty, które Lityński stawiał prasie brytyjskiej, nie mniej broszura poruszyła Anglików.

Lityński z pasją i doskonałym wyczuciem psychologii angielskiej oskarżał prasę brytyjską o bierność w sprawie Warszawy. Anglicy — jak wiadomo — są bardzo czuli na punkcie „fair play”. Zarzut, że oni nie byli „fair” — nawet tylko częściowo słuszny — musiał poruszyć sumienia. I poruszył. Nie wiem, czy George Orwell czytał broszurę Lityńskiego, ale jego artykuł w „Tribune” jest jakby odpowiedzią na apel Lityńskiego. „...Obchodź mnie stanowisko inteligencji brytyjskiej, która nie umie zdobyć się na bodaj jeden głos protestu przeciw czemuś, co uważają za politykę rosyjską. W tym wypadku posunęli się do takiej nieczystości, że sugerowali, że nasze bombowce nie powinny być wysłane na pomoc naszym towarzyszom, walczącym w Warszawie.”.

Gdyby broszura Lityńskiego trafiła tylko do Anglików, byłaby pozycja — bez reszty — korzystną. Niestety, trafiła także do Polaków.

I tu zaczyna się tragedia ponyłek i nieporozumień. To prawda, że prasa brytyjska odezwała się późno. Pierwszy artykuł na temat Warszawy ukazał się dopiero 6-go sierpnia w „Observerze”, ale od 9-go sierpnia Warszawa nie schodziła z łamów prasy brytyjskiej. Niestety, Polacy rozczuliwali się widocznie wciąż jeszcze w broszurze Lityńskiego i nie chcieli — czy nie umieli — dojrzeć ani „Tribune”, ani „Economist”, ani „Time and Tide”, ani „Observera”, ani „Spectatora”, ani „Daily Telegraph”, ani „Daily Mirror”, ani „Daily Herald”, ani „Tablet”, ani „Sunday Despatch”, ani „Manchester Guardian”, ani „Yorkshire Post” — aby wymienić tylko te pisma, które cytowała w przeglądzie głosów brytyjskich na temat Warszawy „Polish Fortnightly Review” nr. 101 z dn. 1 października 1944 r.

To prawda, że były także głosy perfidne, ale były one sporadyczne i jednym z nich, który ma jakakolwiek wagę, był głos „New Statesman and Nation”.

Poruszenie opinii publicznej było tak widoczne, że brytyjska polityka musiała się z nim liczyć. A ów pierwszy tydzień milczenia? Mój Boże! Anglicy mają powolniejsze refleksy niż my, nie mówiąc o tym, że podczas gdy dla nas fakty o Warszawie były aktem wiary, to Anglików trzeba było przekonać. A to wymaga trochę czasu.

Zbyt pochopnie oskarżamy i odsądzamy ludzi od czci i wiary. Za „majora Grabca” przekleślimy „Tribune”; „Observer” i jego polski korespondent, p. Deutscher, byli mieszanzi z błotem przez polską reakcję z Mackiewiczem na czele. Dziś — na pewno bez intencji autora — używa się broszury do antybrytyjskiej propagandy. Cui bono?

Niemcy a Europa

Po raz trzeci — i na pewno nie po raz ostatni — powracam w ciągu krótkiego czasu do sprawy Niemiec. Sprawy, która w miarę zbliżania się końca wojny nabiera coraz większej wagi. W poprzednich „Opiniach” omawiałem spór o t.zw. „dobrych Niemców” oraz kwestię reedukacji Niemiec. Obie te sprawy są właściwie na periferiach zagadnienia. Centrum zagadnienia jest fakt, że Niemcy są nie tylko ośrodkiem geograficznym Europy, ale także kluczem do jej gospodarczego dobrobytu.

Sir Walter Leyton, który ogłosił obecnie w „News Chronicle” serię artykułów p. t. „How to deal with Germany”, pierwszy postawił sprawę jasno i wyraźnie. Bez głupawego sentymentalizmu Brailsforda & Co, ale także bez nieopanowanej mściwości, która zaciemnia tylko sąd, a do niczego nie prowadzi. W bieżącym roku wydał Sir Walter Leyton także nową broszurę p. t. „The British Commonwealth and World”, która w polskim tłumaczeniu ukazała się niedawno w Londynie.

Sprawa Niemiec jest nieodłączna od sprawy Europy nie tylko dlatego, że nie potrafimy wypięć 80 milionów Niemców, ale także dlatego, — i głównie dlatego, — że Europa potrzebuje Niemiec i Niemców dla swego normalnego gospodarczego rozwoju. Ale ponieważ, z drugiej strony, Niemcy byli dotychczas zawsze zarzewiem wojen, ponieważ rejestr ich zbrodni jest tak olbrzymi, że tylko głupawa naiwność umie o tym zapomnieć i z tym się nie liczyć, i ponieważ posiew nienawiści w Niemczech przeciw światu, a na świecie przeciw Niemcom, zbyt bujnie się rozrósł, — zadanie, które nas czeka, nie jest łatwe. Nie upraszcza również sprawy fakt, że niemiecki „Nowy Ład” działał w Europie przez 5 lat. Zjednoczenie gospodarcze Europy, jakiego dokonali, — katorżnicza praca Europy dla Niemiec, — nie może się przerozciąć przez noc w Pan-Europę szczyśliwości. Ludzie by tego po prostu nie strawili,

choć — tak na prosty rozum — wystarczyłoby może tylko przeorganizować ten „Nowy Ład” dla wspólnego dobra Europy. Ale nie ma prostego rozwiązania tak skomplikowanych problemów. I nie ma rozwiązania idealnego, któreby zadowolniło wszystkich i odpowiedziało na wszystkie wątpliwości.

Plan Sir Walter Leytona dzieli się na 6 części:

1) „Główną nauką, jaka wypływa z doświadczenia Ligi Narodów, jest, że nie wszystkie części świata są w równej mierze gotowe do współpracy”. Wobec tego proponuje Sir Walter stworzenie (tam, gdzie się da) związków regionalnych. Międzynarodowa organizacja światowa ograniczyłaby się do pilnowania pokoju i zatwierdzania umów regionalnych. „Te zgrupowania regionalne, wciśnięte pomiędzy państwa suwerenne, mogą się z czasem przetrwać w federacje typu ZSRR albo USA. Pomijając inne korzyści, będą takie związki regionalne przeciwwagą Niemiec”.

2) Niemcy muszą być ukarani. Przykładnie i surowo, ale kara musi być doraźna, a nie rozłożona „na raty”, jak to było ostatnim razem. Kara śmierci (bez sądu) dla Hitlera, a inni zbrodniarze — w szczególności przywódcy partyjni oraz ochotnicy członkowie Gestapo — powinni być umieszczeni bezterminowo w obozach pracy. (Przed chwilą słuchałem w radio reportażu Aleksandra Wertha z Moskwy. Twierdzi on, że — zdaniem Rosjan — około milion Niemców, członków SS oraz Gestapo, powinno być zabitych. Jest to bardziej konkretna propozycja, choć — zdaniem moim — równie niewykonalna jak propozycja Sir Walter Leytona. Humanitaryzm angielski nie potrafi się zdobyć ani na długotrwałą kają miliona ludzi, ani na rzeź). Reszta zbrodniarzy powinna być ukarana przez samych Niemców. Jeśli tego samorzutnie nie uczynią, okres kontroli i okupacji może być przedłużony. Niemcy powinni zwrócić zrabowane dobra, a w szczególności powinni uzupełnić z zapasu niemieckiej szkody, jakie wojna wyrządziła w żywym inwentarzu państw okupowanych. Sir Walter jest przeciwnikiem reparacji gotówkowych. Co do tego punktu opinia światowa jest na ogół zgodna.

3) Niemcy powinni być zupełnie rozbrojeni. Tylko policja mogłaby mieć ograniczoną ilość karabinów maszynowych. Armia, lotnictwo i marynarka powinny być zniszczone. Tak samo sztab. Niemieckie badania naukowe powinny być pod stałą kontrolą międzynarodową, słusznie bowiem zauważa Sir Walter, że „najniebezpieczniejsza jest broń przyszłości, a nie broń ubiegłej wojny”. Ten punkt był dotychczas przeoczany. O ilez bardziej życiowe i rzeczowe jest to podejście do planu liberalów Lorda Perth.

4) Administracja cywilna Niemiec powinna być kontrolowana aż do czasu, gdy wpływy hitlerowskie zostaną wyeliminowane. (To jest zbyt ogólnikowe. W pierwszym miasteczku niemieckim, zajętym przez Amerykanów, ustanowiono burmistrzem nauczyciela, ex-członka partii hitlerowskiej... bo nie było nikogo innego).

5) Pewne zmiany terytorialne będą konieczne, choć nie należy tu brać pod rozwagę t. zw. granic strategicznych, gdyż „linie na mapach przestały być kluczem bezpieczeństwa”. Należy udostępnić morze dla Europy. W tym celu wiele portów należy umiędzynarodowić, np. Triest.

6) Należy opracować 5-cio letni program gospodarczy dla Europy. Nie należy dopuścić do tego, aby Niemcy ponownie opanowały gospodarczo Europę. Tego nie dokona zubożenie Niemiec, tylko wzbogacenie Europy. Europa, której stopa życiowa i uprzemysłowienie są równe stopie życiowej i uprzemysłowieniu Niemiec, nie musi się ich wiecej bać.

Plan Sir Walter Leytona, choć najobszerniej sprecyzowany ze wszystkich, jakie się dotąd ukazały, ma swoje niedociągnięcia, ale jak stwierdził, nie ma doskonałości w sprawach tak skomplikowanych. Niedojrzałość polityczna świata powoduje ograniczenia, których nie umiemy przekroczyć. I tu — na zakończenie — pragnę zacytować następujące zdanie z ostatniego artykułu Sir Walter Leytona: „Jasnym jest, że nie umiemy jeszcze stworzyć państwa światowego. Ani USA, ani ZSRR nie zechcą połączyć swych sił zbrojnych i oddać ich do dyspozycji jakiejś międzynarodowej władzy”.

Sir Walter nie wymienił Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Przez implikację daje zatem do zrozumienia, że Brytyjczycy zechcieliby... Gdy zastanawiam się nad tym, wydaje mi się, że ma rację. Brytyjczycy bodaj są jedynym narodem, dojrzałym do Rzeczypospolitej Globu.

Problem mieszkaniowy Wielkiej Brytanii

Problem żywnościowy jest na pierwszym miejscu w hierarchii potrzeb Europy powojennej. Na drugim miejscu jest dach nad głową. Zniszczenia, jakich dokonała wojna, i jakich jeszcze niestety, wiele dokona, stworzyły problem równie groźny jak niedożywienie. Nie wolno również zapominać, że na skutek braku robocizny i materiałów budowlanych przez 5 lat wojny nie budowano nowych domów, a stare konserwowano tylko do rytyczu i ulamkowo. W Anglii ten głód mieszkaniowy nie będzie tak wielki jak na kontynencie. Nie mniej jest on poważny. Złazszcza w Londynie i w południowej Anglii, w zasięgu bomb latających. Jest jednak jeszcze jedna różnica między problemem angielskim a problemem budowlanym kontynentu. W Anglii można było dokładnie obliczyć straty i rozplanować zapotrzebowanie. Dlatego angielskie plany budowlane mają duże praktyczne znaczenie.

W Anglii budowano przed wojną od 300 do 350 tysięcy domów jednorodzinnych rocznie. Od marca 1940 do kwietnia 1944 r. wybudowano tylko 55 tysięcy domów. Deficyt za lata wojny wynosi zatem około 1.000.000 domów. Do tego dochodzi zniszczenie, dokonane przez „blitz” i bomby latające. Oficjalnie ocenia się zapotrzebowanie natychmiastowe na ponad milion domów, a plany długofalowe przewidują budowę do 4 milionów domów w ciągu 10 lat. To olbrzymie zapotrzebowanie wywołało istną powódź prywatnych i publicznych projektów.

Wszyscy są zgodni, że bezplanowa polityka budowlana nie może dać potrzebnych wyników. Ta zgoda nie jest wynikiem jakichś lewicowych prądów (choć i one w tym kierunku grały bardzo ostro), ale głównie praktycznych rozważań. Nie ma dość ludzi ani materiałów budowlanych.

Bardzo poważne głosy domagają się nawet utworzenia specjalnego ministerstwa dla spraw

budowlanych, — rodzaj sztabu głównego, — które planowałyby i kierowały całą akcją budowlaną. Plany te są przedmiotem poważnych prac rządowych i debat parlamentarnych.

Bardziej ciekawe jest jednak zainteresowanie, jakie przeciętny Anglik tym sprawom okazuje. Półki księgarskie są zawałone broszurami i książkami na temat budownictwa, tak jak trzy lata temu pełne były podręczników ogrodniczych („grow your own food!”).

To zainteresowanie ma (oprócz potrzeby) dwa źródła: 1) zmysł praktyczności, który sprawia, że Anglik chętniej będzie rozmawiał na temat rozmaitych praktycznych wynalazków i chwytów domowych niż na temat Karty Atlantyckiej, 2) szeroko rozwinięta standardyzacja, która udostępniła masom luksus mieszkaniowy. W Polsce luksus mieszkaniowy był przywilejem najbogatszych, których stać było na architekta i na indywidualnie planowane i wykonane mieszkania. Tu stan-

dardyzacja stawia komfort w zasięgu każdej kieszeni. Każdy może sobie pozwolić na masowo produkowane kuchnie elektryczne czy gazowe, na lodownię elektryczną i łazienki. Ale, co ważniejsze, standardyzacja planów budowlanych sprawia, że robotnik czy farmer wiedzą o istnieniu wszelkich ulepszeń na równi z bogaczami. Wiedzą i umieją z nich korzystać.

Jeszcze jedno. Anglicy nie lubią domów wielomieszkaniowych. Wolą jednopiętrowe domki rodzinne. Olbrzymia większość planów zajmując właśnie takimi domkami. Z punktu widzenia rodziny (zwłaszcza dzieci) jest to słuszne, choć nie ulega wątpliwości, że bloki mieszkalne, tak popularne na kontynencie, są bardziej oszczędne. Jednak przyzwyczajenie — czy uprzedzenie — są tak silne, że na ankietę „Mass-Observation” tylko 5% ludzi odpowiedziało, że chcą mieszkać w blokach.

H. S. Dominik

O REFORMIE ROLNEJ W POLSCE

Londyński tygodnik „The Economist” ogłosił w numerze z dn. 7 sierpnia b.r. interesujący artykuł o problemie rolnym w Polsce „Land Reform in Poland”, który podajemy tu w całości:

Gdy dwadzieścia cztery lata temu, latem 1920 r., Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy, w Białymstoku powstał tymczasowy polski rząd sowiecki, z Feliksem Dzierżyńskim i Karolem Radkiem na czele*). W Warszawie powołano do życia Rząd Jedności Narodowej, na czele którego stanęli przywódca partii chłopskiej, Witos, i wódz socjalistów, Daszyński.

W chwili, gdy ważyły się losy dopiero co zrodzonej Republiki Polskiej, zarówno Rząd Jedności Narodowej, jak i tymczasowy rząd sowiecki, zdawały sobie sprawę z tego, że centralnym problemem ustroju i życia politycznego Polski był konflikt interesów nawpół feudalnych właścicieli ziemskich i ogółu chłopów, małorolnych i bezrolnych. Obie strony starały się pozyskać sobie chłopów. Dzierżyński i Radek wydali w Białymstoku manifest, w którym proklamowali wywłaszczenie właścicieli ziemskich; jednocześnie jednak ostrzegali włościan przed naruszeniem własności dworskiej, nie pozwalili jej dzielić i ogłosili, że wielkie majątki ziemskie zostaną upaństwowione i będą gospodarowane jako własność kolektywna.

W Warszawie prezes rady ministrów, Witos, przyrzekł uroczystie chłopom, że natychmiast po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej wielkie majątki ziemskie zostaną rozdzielone pomiędzy małorolnych. W decydującym okresie wojny obie strony chciały zyskać sobie opinię przyjaciół chłopów. Lecz gdy tymczasowy rząd komunistyczny operował terminami kolektywizmu, które nie znajdowały odzwiedku w masach małorolnego włościanstwa, przywódca polskiej partii chłopskiej zaapelował do indywidualizmu chłopów. To okazało się bardziej skuteczne. Przytaczająca większość chłopstwa polskiego zjednoczyła się w obronie Polski parlamentarnej i demokratycznej.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który pod protektorem sowieckim został obecnie powołany do życia w Chełmie, nie poszedł śladami sowieckiego rządu in spe z r. 1920 i nie ogłosił proklamacji o kolektywizmie. Pierwszym jego krokiem było zainicjowanie radykalnej reformy rolnej, która ma podzielić majątki ponad 50 ha, a w niektórych okęgach ponad 100 hektarów (125 względnie 250 akrów) pomiędzy posiadających mniej niż 5 hektarów ziemi. W kilka dni po proklamacji komitetu wicepremier Rządu Polskiego w Londynie, p. Kwapiński, ogłosił w audycji dla kraju, że Rząd Polski przygotował projekt reformy rolnej.

Znaczenie tych proklamacji do włościanstwa polskiego można będzie zrozumieć po zapoznaniu się z dziejami reformy rolnej w Polsce w okresie pomiędzy dwiema wojnami. Przyrzeczenie radykalnej reformy rolnej, złożone w ogniu wojny polsko-sowieckiej w r. 1920, dotrzymane zostało jedynie częściowo. Opozycja wielkich właścicieli ziemskich w Sejmie Polskim była przeszkodą nie do pokonania w pierwszych latach po wojnie.

Zasadnicze dwie ustawy o reformie rolnej datują się z lat 1921 i 1925. Pierwsza zarządziła podział pomiędzy włościan majątków ziemskich o obszarze ponad 100 ha. Ustawa z 1925 r. podniosła maksimum do 300 ha. Obie ustawy przewidywały dość wysokie odszkodowanie dla właścicieli ziemskich. Dlatego to reforma rolna nie mogła spełnić swego głównego zadania. Nie mogła zaspokoić „głodu ziemi” bezrolnych i małorolnych, którzy nie byli w stanie płacić za ziemię. Na reformie rolnej zyskała głównie warstwa zamożnego włościanstwa.

Problem ten doprowadził w latach 1920-1925 do całkowitego rozłamu w ruchu chłopskim. Trzy partie chłopskie walczyły ze sobą zaciekle: konserwatywne stronnictwo chłopskie „Piast”, lewicowa partia „Wyzwolenie” i radykalna partia chłopska. Później powstała nowa partia, skrajnie lewicowa — Niezależna Partia Chłopska.

Rozczarowanie włościanstwa, wywołane powolnymi postępami i błędnym stosowaniem reformy rolnej, w głównej był może mierzem przyczyniło się do wynaturzenia się demokracji parlamentarnej w Polsce. Duża ilość ugrupowań chłopskich w sejmie sprawiła, że żaden rząd nie mógł liczyć na stałą większość sejmową. W pewnym okresie czasu chłopci dopatrywali się przyczyn bankructwa reformy rolnej w samym ustroju parlamentarnym.

Gdy w 1926 r. Piłsudski dokonał zamachu stanu, skierowanego przeciw sejmowi, poparła go najbardziej wówczas wpływowa i najbardziej skrajna partia chłopska — Wyzwolenie. Mimo że Piłsudski osobiście nie zaangażował się w żadne ściśle określone obietnice w sprawie ziemi, gromy, rzucane przezeń na „zgniliznę moralną” rządów parlamentarnych, niewątpliwie mogły budzić wśród chłopów nadzieję, że przyspieszy on reformę rolną. Wkrótce jednak po zdobyciu władzy Piłsudski zawarł w Nieświeżu ową słynną ugodę z arystokracją ziemską, która sprawiła, że w la-

*) Omyłka faktyczna: w tymczasowym rządzie sowieckim zasiadali, prócz Dzierżyńskiego, Marchlewski i Feliks Kon, nie zaś Radek (przyp. red.)

tach jego dyktatury tempo reformy rolnej osłabło jeszcze bardziej. Wielcy właściciele ziemscy byli poważnie wspierani przez państwo. W r. 1930 różne ugrupowania chłopskie złączyły się w jedno stronnictwo chłopskie, na którego czele stoi dziś p. Mikołajczyk.

W ciągu blisko dwu dziesięcioleci ogólny obszar ziemi, która przeszła we władanie małej i średniej własności ziemskiej, wynosił 2.500.000 ha, to jest nie wiele więcej ponad czwartą część ziemi, którą biedni chłopci dostaną obecnie według projektów, ogłoszonych tak przez Polski Rząd w Londynie jak i przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Wielka własność we wschodniej i środkowej Polsce nie mogła się nawet powoływać na te korzyści dla życia gospodarczego, jakie gdzie indziej przynoszą wielkie majątki ziemskie. Wyjawszy Polskę zachodnią, technika uprawy w wielkich majątkach ziemskich była zazwyczaj na równie niskim poziomie, co i w małych gospodarstwach chłopskich. Widać to z tabeli porównawczej wydajności jednego ha ziemi. Na tabeli podane są przeciętna wydajność jednego ha uprawnej ziemi oraz wydajność jednego ha ziemi w gospodarstwach poniżej 50 ha. Różnice są znikome.

Wydajność jednego hektara w r. 1937

	w kwintalach przeciętna	w gospodarstwach poniżej 50 ha
Pszenica	11,4	11,1
Zyto	9,9	9,6
Jęczmień	11,1	10,4
Owies	10,2	9,9
Kartofle	135	132
Buraki ukrowe	221	199

W ciągu ćwierćwiecza wydajność przeciętna jednego ha ziemi prawie że nie wzrosła, a ogólny obszar uprawnej ziemi powiększył się jedynie bardzo nieznacznie. Istotny wyjątek stanowi Polska zachodnia. Tam duża własność ziemiska była czynnikiem postępu technicznego w rolnictwie i tam również chłopski „głód ziemi” był z pewnością mniej dotkliwy ze względu na niewielką tylko ilość małych i niezależnych gospodarstw. Znamienne jest, że projekt reformy, głoszony przez Polski Komitet Wyzwolenia, ustanawia maksimum dla majątków ziemskich na tych obszarach na 100 hektarów, gdy dla pozostałej przestrzeni Polski wynosić ma ono 50 ha.

Choć Rząd Polski w Londynie i Polski Komitet Narodowy zobowiązały się do prowadzenia prawie że tej samej polityki rolnej, nie ulega wątpliwości, że Komitet zyskał na starcie, jeśli nie wspomnieć nawet o korzyściach, jakie ciągnie on z sytuacji militarnej. Bez wątpienia ogół włościanstwa polskiego czużyłby bardziej pewny przyznanej mu ziemi, gdyby otrzymał ją w sposób prawie niewadliwy — pod powagą autorytetu legalnego Rządu Polskiego. Lecz, z drugiej strony, zachodzi różnica pomiędzy obietnicą reformy rolnej, która ma być w przyszłości wprowadzona w życie, a rzeczywistą reformą, którą się ma bez zwłoki przeprowadzić na oswobodzonych terenach. Doświadczenie okresu pomiędzy wojnami nauczyło chłopów polskiego pewnej podejrliwości w stosunku do ogólnikowych obietnic i życzliwych zapewnień.

Obecna sytuacja w Polsce pod pewnymi względami przypomina stosunki w Rosji w r. 1917. W Rosji również działała demokratyczna partia chłopska „Socjalno-Rewolucyjna”, która opracowała projekty podziału wielkich majątków ziemskich pomiędzy chłopów. Bolszewicy propagowali gospodarkę zbiorową. Lecz w r. 1917 socjal-rewolucjoniści nie mieli siły do przeprowadzenia swych projektów, i bolszewicy wyrwali im żądło i sami podzieliли ziemię między chłopów. Czernow, autor programu rozdziału ziemi, ratował się ucieczką; idee jego zrealizował Lenin.

W różnych okresach historii Polski problemy społeczne i narodowe zderzały się z sobą z dramatyczną siłą. Większość reform postępowych w Polsce przeprowadzana była przez obcych na jeźdźców, ponieważ czynniki postępowe w Polsce nie były dość silne. Napoleon, cesarzowie austriaccy, pruscy królowie i carowie rosyjscy znosili pańszczyznę w różnych częściach Polski; szlachta polska, bohatersko walcząc o niepodległość kraju, zawsze spóźniała się, jeśli chodzi o reformy wewnętrzne. Tragedią Polski stało się to, że w zmaganiach o niepodległość chłop polski pozostawał obojętny, czasem nawet wrogi, w stosunku do patriotycznych przywódców. Wielkie powstanie polskie z r. 1863 i 1864 poniosło ostateczną klęskę, gdy w r. 1864 Aleksander II rozciągnął na obszar Polski moc obowiązującą aktu o zniesieniu pańszczyzny. Wyzwoleni chłopci wydawali bojownikom o Polskę w ręce swych rosyjskich dobroczyńców.

Czy marszałek Stalin chce iść śladami swego carskiego poprzednika? Byłoby błędem przeczyć fakt, że chłop polski jest dziś bez porównania lepiej uświadomiony — politycznie i narodowo — niż był osiemdziesiąt lat temu, gdy go dopiero co uwolniono z pańszczyzny. Niewątpliwie odczuwa on rzeczywisty głód ziemi, ale nie mniej silnie odczuwa głód wolności politycznej i niepodległości narodowej.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Sprawa polska była centralnym zagadnieniem konferencji moskiewskiej. Co do tego wszystkie komunikaty oraz relacje korespondentów były zgodne. Przebieg jednak rokowań osłania gęsta mgła tajemnicy. Jest ona charakterystyczna dla rokowań, w których żadnego porozumienia nie osiągnięto (nie ma się więc czym pochwalić), ale w których równocześnie strony nie straciły nadziei na osiągnięcie porozumienia w przyszłości (lepiej więc nie utrudniać sytuacji przez rozgłaszanie istniejących różnic stanowisk). Czy oznacza to, że sprawa polska w ogóle nie posuwała się na konferencji naprzód? Wszystkie zalety od tego, czy i o ile prem. Churchillowi i min. Edenowi udało się wpłynąć na zmianę stanowiska Stalina wobec Polski. Przedstawiciele lubelskiego Komitetu byli co prawda w Moskwie, ale na bocznych torze. Czy oznacza to, że brytyjskim mężom stanu udało się wyperswadować marsz. Stalinowi, aby cofnął swoje poparcie dla tego bardzo niefortunnego i w żadnej mierze nie reprezentacyjnego ciała? Może, choć przesłanki są zbyt wątłe, aby można było na nich oprzeć taki wniosek.

Jeszcze przed wyruszeniem do Moskwy prem. Churchill w sposób bardzo kategoryczny poparł rosyjskie żądania ustalenia granicy polsko-rosyjskiej wzdłuż linii Curzona. W swoim oświadczeniu parlamentarnym z dn. 27 października mówił tylko o wschodniej granicy jako o problemie bardzo trudnym i drażliwym. Czy oznacza to, że wycofuje się ze stanowiska, pierwotnie zajętego? Chcielibyśmy bardzo w to wierzyć, chcielibyśmy choćby dlatego, aby móc w pełni przywrócić w naszych sercach ten kapitał zaufania i podziwu, jaki mieliśmy dla człowieka, uosabiającego tak wspaniałe determinacje walki i wole zwycięstwa Wielkiej Brytanii. Ale bodaj że byłoby to z naszej strony wishful thinking. Rozsądniej będzie przypuścić, iż prem. Churchill dał w ten sposób Izbie do zrozumienia, iż taka linia graniczna jest dla strony polskiej nie do przyjęcia.

W swym oświadczeniu w Izbie Gmin o stosunkach brytyjsko-sowieckich prem. Churchill mówił bardzo ciepło. Najpełniejszym jednak sprawdzianem tego, iż stosunki te są na prawdę dobre, byłoby podanie do wiadomości rezultatów osiągniętych porozumień w sprawach spornych. Takich rezultatów prem. Churchill nie mógł Izbie przedstawić. W tym cieplejszych słowach musiał mówić o stosunkach między obu mocarstwami. Był to weksel, który spłacić ma przyszła Konferencja Trzech, zapowiadana jeszcze na rok bieżący.

Teraz bowiem Amerykanie nie byli na konferencji obecni. I to jest także jej bardzo charakterystyczny rys. Przyczyny, dla których prez. Roosevelt nie mógł w niej wziąć udziału, są oczywiste. Agitacja przedwyborcza weszła już w najgorętszą fazę i prezydentowi byłoby niezręcznie wyjechać w tej chwili ze Stanów. Zresztą nieporozumienie byłoby mu brać na siebie jakieś zobowiązania teraz, kiedy nie wiadomo, czy w Białym Domu pozostanie.

Ala — konferencja odbyła się na miesiąc zaledwie przed amerykańskimi wyborami prezydenckimi. Czy nie można jej było wobec tego odłożyć na miesiąc później? Widocznie nie, widocznie problemy sporne były na tyle palące, że trzeba je było omawiać od razu. I widocznie są to problemy na tyle trudne i drażliwe, iż załatwić się ich nie udało. Załatwienie to trzeba było odłożyć do przyszłej Konferencji Trzech. A na teraz zadowolić się świadomością serdeczności stosunków brytyjsko-sowieckich.

Wiemy zgrubsza, jakie to problemy. Jeden z nich to Persja. Tutaj napięcie stosunków jest bodaj że największe. Zanotujmy fakty. Najpierw przyszła więc ze strony kierownika departamentu środkowo-azjatyckiego Narkomindielu, Kawtaradze, propozycja eksploatacji przez ZSRR nafty północnego Iranu. Propozycja ta spotkała się ze strony perskiej z odmową. Potem przyszedł komunikat United Press, donoszący, że władze irańskie odmówiły koncesji na nowe wiercenia w Beludżystanie brytyjskim i amerykańskim towarzystwom: Standard Oil, Vacuum, Sinclair i Shell. Brzmiało to niemal jak próba osłodenia Rosjanom przykrości odmowy perskiej: jesteście w dobrym towarzystwie; jak próba wytłumaczenia im, że niechęć Persów do gospodarczych wpływów obcych, bez względu na to, z jakiej strony by one przychodziły, najlepiej wypełni ten margines sprzecznych interesów mocarstw, który przechodzi obecnie przez Iran, tak jak przechodził przez cały wiek XIX. Ale Rosjanie rozpoczęli gwałtowną kampanię ataków na rząd irański: że sabotuje transporty, idące przez Persję, że popiera elementy faszystowskie. Konflikt ten przybiera z dnia na dzień coraz to ostrzejszy charakter. Jak donosi korespondent „Observera” w nrze z dnia 29 października: „Teheran może szybko stać się sceną gwałtownego zamachu stanu albo rewolucji pałacowej, która Mohammeda Saada zrzuci z urzędu i zastąpi go przez rywala, bardziej skłonnego do przyjęcia rosyjskiego planu koncesji”. Ten sam korespondent donosi, iż — być może — wskutek odmowy perskiej Rosjanie będą się uważali za zwolnionych z traktatowych zobowiązań nie mieszania się w wewnętrzne sprawy perskie. — Egzotyczne stosunki panują w tej Persji.

Druga wreszcie taka sprawa, to sprawa jugosławińska. Tutaj — może — jakieś porozumienie zostało osiągnięte. Sytuacja tu jest zresztą bardzo skomplikowana. Jugosławia ma być rodzajem buforu między dwiema sferami wpływów, buforu, w którym wpływy brytyjskie i sowieckie bityby zbalansowane i któryby do żadnej z tych sfer wpływów nie należał. Anglicy, dobrze świadomi tego, że bez takiego zrównowazenia sfer wpływów ich panowanie we wschodnim basenie morza Śródziemnego byłoby mocno niepewne, włożyli dużo pracy w to, aby marszałek Tito, który wystąpił pierwotnie na scenę polityczną jako człowiek zaufania Moskwy, do takiej koncepcji przekonać: taki był sens prób pogodzenia Tita z królewskim rządem jugosławijskim, misji Randolpha Churchilla w kwatery głównej Tita, włoskich rozmów z Churchilliem. W ostatnich tygodniach jednak przybył tu nowy element: do Jugosławii wkroczyły wojska rosyjskie. — Być może, że komunikaty, donoszące o

rozmowach Tita z drem Subasziem, świadczą, iż znaleziono tu jakąś formułę kompromisową. Wiadomości wreszcie o podpisaniu w Moskwie warunków zawieszenia broni z Bułgarią dowodzą, że i tutaj narady moskiewskie doprowadziły — w dwa miesiące po wkroczeniu wojsk sowieckich do Sofii — do kompromisu. Warunków tych nie ogłoszono jeszcze w pełnym tekście.

Z oświadczenia prem. Churchilla dowiedzieliśmy się wreszcie, że istnieje rozbieżność między brytyjskim a rosyjskim punktem widzenia na temat rozwiązania problemu węgierskiego. Nabiera ona szczególnej wymowy na tle dramatycznej a nieudanej próby regenta adm. Horthy'ego wyprawienia Węgier z wojny w momencie, gdy Churchill i min. Eden znajdowali się w Moskwie. Uznał on, że jest to najwłaściwszy moment po temu, aby nawiązać rokowania łącznie z obu sojusznikami.

Mimo iż wynik wojny nie może dzisiaj dla nikogo podlegać wątpliwości, mimo stale ponoszonych klęsk, mimo wielkich zniszczeń, jakie przynosi im każdy nowy miesiąc ofensywy powietrznej Sprzymierzonych, — Niemcy nie tylko że biją się, ale i biją się dobrze. Na froncie zachodnim postępy wojsk Sprzymierzonych są w tej chwili małe. Prawda, Rosjanom udało się wdrzeć na terytorium Prus Wschodnich, ale i tu — jak sami przyznają — każdy kilometr zdobytego terenu muszą ciężko okupować. Czymże wytłumaczyć sobie tę wolę walki żołnierza niemieckiego?

Nadaremnie szukalibyśmy wyjaśnień w oficjalnej propagandzie niemieckiej. Propaganda ta bowiem wyraża tylko i wyłącznie opinię grupy rządzącej, a więc ludzi, którzy zaszczepiając swemu narodowi systematycznie fanatyzm, sami się nim zaraziłi, z drugiej zaś strony — walczą dziś o własną skórę w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Ludzie ci są fanatykami, bo ich na nic innego nie stać. Ponieważ zaś żadna inna opinia, różna od opinii kół rządzących, nie może w Niemczech dojść do głosu, więc — zdawałoby się — jesteśmy tutaj w sytuacji bez wyjścia. Jest jednak jedno źródło informacji: żołnierze niemieccy, wzięci do niewoli na froncie zachodnim. W czasie wyswobodzenia Francji wzięto ich do niewoli dużo, tak dużo, że wnioski wyciągnięte ze zbadania ich nie mogą być przypadkowe, że można z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, iż opinia ich to dziś opinia przeciętnego Niemca.

I otóż wnioski te, ogłaszane przez prasę angielską, są bardzo ciekawe, choć mało poszczególnych. Wśród jeńców jest niezmiernie mniejszość fanatyków, ślepo oddanych partii i wierzącym — lub też udającym wiarę — że Niemcy jeszcze wojnę wygrają. A reszta, przeważająca większość? Tych charakteryzuje zupełna apatia polityczna. Przyznają oni, że Niemcy wojnę przegrali, niektórzy z nich, stracili wiarę w partię, wierzą jeszcze w Fuehrera, wielu z nich panicznie obawia się Rosjan, ale poza tym ludzi tych zagadnienia polityczne nie interesują: ich zainteresowania i kłopoty na po wojnie są charakteru prywatnego, rodzinnego, zawodowego. Przyszły ustrój Niemiec, jak Niemcy będą wyglądały po wojnie? — Niech się tymi sprawami kłopotą ci, którzy zwyciężą w wojnie. Nie ma w nich poczucia współodpowiedzialności za losy przyszłych Niemiec i świadomości, że będą tych losów współbudowniczymi.

Taki stan umysłów ma a s y żołnierzy niemieckich tłumaczy bardzo wiele. Tłumaczy przede wszystkim, dlaczego w ręku zdecydowanych na wszystko fanatyków ta masa może być jeszcze długo bezwolnym a posłusznym narzędziem. Nie zbuntuje się, bo w imię czego?

Ala taki stan umysłów to bardzo smutny prognostyk dla przyszłych losów demokracji niemieckiej. U podstaw bowiem wszelkiej uczciwej demokracji musi leżeć poczucie obywatela współodpowiedzialności za losy państwa. Świadomość tego musi zawazyć na alianckich planach wobec Niemiec: wygląda na to, że Niemcy stoją wobec alternatywy, iż jeśli idzie o najbliższe lata, to o losie ich decydować może albo aliancki zarząd wojskowy, albo fanatycy hitlerowscy. Tertium non datur.

Ten przekrój stanu umysłów, jaki otrzymujemy z badania jeńców, nie jest sprzeczny z tym, co o opozycji w Niemczech wiemy ze źródeł niemieckich. Wiemy mianowicie, że dn. 20 lipca zorganizowany był na Hitlera zamach przez wyższych oficerów-junkrów. Potem Niemcy donieśli o zlikwidowaniu grupy cywilnych polityków Goerdele-
ra, która jakoby miała być w kontakcie ze spiskującymi oficerami. Otóż jest rzeczą charakterystyczną, że w grupie tej znalazł się tylko jeden człowiek lewicy, socjal-demokrata Leuschner. Skąd inąd zaś zupełnie nic nie wiadomo o jakichkolwiek wystąpieniach antyhitlerowskich innych niemieckich działaczy lewicowych, o aktach sabotażu wśród robotników niemieckich, o podziemnej prasie niemieckiej. Jeśli tu i ówdzie akcja taka istnieje, musi ona być bardzo nikła i mało skuteczna. Inaczej jakieś poważniejsze echa przebiegałyby o niej na zewnątrz. Tylko na amerykańskich filmach istnieje szeroko rozgłoszone i energicznie działające organizacje „dobrych”, demokratycznych Niemców. Rzeczywistość wygląda inaczej: wychowując Niemców na Herrenvolk, Hitler ugnił z nich naród niewolników.

Uznanie rządu de Gaulle'a zakończyło jedno z przykrejszych nieporozumień historii dyplomatycznej tej wojny. Zakończyło — niestety — na tyle późno, iż we Francji pozostał duży osad ksenofobii i ressentimentu do Aliantów. Może najbliższe miesiące potrafią te nieporozumienia wygładzić. Ze strony brytyjskiej przynajmniej można zaobserwować bardzo wyraźne objawy, wskazujące na chęć jak najprzejrzystej ułożenia stosunków angielsko-francuskich w przyszłości. Gen. de Gaulle tymczasem pokwitował uznanie przejściem do dalszej ofensywy dyplomatycznej: zażądał udziału Francji w okupacji Niemiec i w rozmowach na temat statutu okupacyjnego. I udział ten został mu już — w oświadczeniu Churchilla w Izbie Gmin z 27 października — przyobiecany.

Uznanie de Gaulle'a musiało nastąpić jako rezultat szeregu przyczyn. Po pierwsze, zaważyła tutaj ogromna sprawność organizacyjna, jak i

wielkie zalety bojowe, jakich dowody złożyli marci w momencie wyzwolenia Francji. Po drugie fakt, że z chwilą ustępowania niemieckiego okupanta rząd Vichy rozpadł się niemal że automatycznie i że wreszcie w trudnej, pełnej napięcia sytuacji de Gaulle'owi udało się stworzyć szeroki gabinet koalicyjny, który umiał opanować sytuację.

Rzecz prosta, nie znaczy to, aby w samej Francji sprawy szły zupełnie gładko. Istnieją wcale silne tarcia między de Gaulle'em a komunistami. Tarcia te zresztą datują się nie od dziś, obserwowaliśmy je jeszcze z czasów algierskich Komitetu Francuskiego. De Gaulle był co prawda od początku zdecydowany na budowanie swego Komitetu na zasadzie szerokiej koncentracji, z komunistami włącznie, ale chciał mieć komunistów swojej nominacji, przeciwko czemu znowu francuska partia komunistyczna protestowała. Ostatecznie obie strony poszły wtedy na kompromis: do Komitetu wszedł jeden komunist, wybrany przez de Gaulle'a, i jeden, wybrany przez partię. Zobaczymy, jak się te rzeczy teraz ułożą.

Okazji do wszelkiej demagogii będzie dużo, bo sytuacja gospodarcza kraju jest rozpaczliwa, zniszczenie duże, sytuacja aprowizacyjna Paryża groźna i na terytorium francuskim ciągle jeszcze są Niemcy. Tak więc gabinet de Gaulle'a ma przed sobą zadania nie do pozazdroszczenia. Wzmocnił się on co prawda w Paryżu o kilka tegich indywidualności, wśród których na pierwszym miejscu wymienić trzeba ministra spraw zagranicznych, lewego katolika Bidault, i radykalnego socjalistę, Mendès-France'a, który objął resort gospodarki narodowej. Poparcia moralnego, ale już dzisiaj tylko moralnego, udziela gabinetowi de Gaulle'a osiemdziesięcioletni Jeanneney. Za niewątpliwą plus wreszcie tego gabinetu należy poczytać, że pozbył się algierskiego ministra propagandy, Bonnetta, któremu miano do zarzucenia kneblującą prasę „Ordonnance” i którego winiono za bardzo niski poziom francuskiej prasy algierskiej.

Marsz. Pétain — jak wiadomo — rozpoczął swą karierę polityczną od ambasady do Hiszpanii gen. Franco. Z chwilą gdy reżim jego skończył się we Francji, do Hiszpanii zaczęli przeciekać inni ambasadorzy: hiszpańscy rewolucjonści. Komunikaty donoszą o walkach w szeregu miejscowości na granicy francusko-hiszpańskiej. Należy wątpić, aby walki te same mogły obalić reżim gen. Franco. Nie ulega jednak wątpliwości, że Francja staje się teraz ośrodkiem ruchu, mającego na celu obalenie tego reżimu. Do popierania takiego ruchu skłaniać muszą de Gaulle'a nie tyle względy ideologiczne, ile przede wszystkim względy na politykę zagraniczną.

De Gaulle rolę Francji w przyszłym świecie widzi jako rolę lidera bloku łacińskiego. Tędy — jego zdaniem — prowadzi droga do przywrócenia Francji jej dawnego stanowiska w świecie. Żywa i skuteczna propaganda francuska we Włoszech nie pozostawia co do tego najmniejszych wątpliwości. Na to jednak, aby taki blok mógł stworzyć, de Gaulle musi mieć inną Hiszpanię. Dlatego będzie dążył do obalenia reżimu Franco. Rzecz ciekawa, tutaj jego dążenia zbiegają się z polityką Stanów Zjednoczonych, które zaniepokojone są wpływami ideologicznymi, jakie idą z Hiszpanii na Amerykę Łacińską i roszczeniami Hiszpanii gen. Franco do wzięcia polityki państw Ameryki Łacińskiej pod swoją batutę. Dlatego ze Stanów Zjednoczonych dochodzą dziś najenergiczniejsze głosy za obaleniem w Hiszpanii tego reżimu.

Anglicy są bodaj najpowsześliwsi. Mogą się oni obawiać reperkusji przewrotu w Hiszpanii na Portugalii dra Salazara, która jest ekspozyturą wpływów brytyjskich na półwyspie Iberyjskim, ale, z drugiej strony, angielska prasa lewicowa prowadzi gwałtowną kampanię za zerwaniem z reżimem gen. Franco. Zapowiedź wycofania Sir Samuela Hoare'a ma też swoją wymowę. Ten ambasador w Hiszpanii, jeden z najtęższych dyploma-

tów brytyjskich, miał do spełnienia rolę zupełnie analogiczną do tej, jaką odegrał w Turcji von Papen: zadaniem i jednego i drugiego było powściągnąć od udziału w wojnie kraje neutralne, których pozycja i tu i tam była kluczowa: I jednemu i drugiemu zadanie to się powiodło. I jest winą von Papena, że tylko Sir Samuel Hoare wraca w glorię tryumfatora.

Lądowanie wojsk amerykańskich na Filipinach, to nie tylko jeszcze dwie nowe wyspy, zajęte na Pacyfiku, to otwarcie nowego rozdziału w wojnie z Japonią. Dotychczasowe sukcesy wojsk Sprzymierzonych na tym teatrze były przede wszystkim wypieraniem Japończyków z tych pozycji wyjściowych; jakie zajęli oni do ataku na Australię. Było ono raczej ostrażne, żmudne i szło krok za krokiem. Obliczano już, że jeśliby postępy Sprzymierzonych na Pacyfiku dalej szły w tym tempie, alianci do ostatecznego zwycięstwa nad Japonią potrzebowaliby ponad dwudziestu lat.

Otóż lądowanie wojsk amerykańskich na Filipinach oznacza zerwanie z tą tradycją. Jest to śmiały, długodystansowy skok przez ocean, który — jeśli się powiedzie — nie tylko wydrze Japończykom jedną z najcenniejszych ich zdobyczy i w znacznej mierze zdeorganizuje ich komunikację z Indiami Holenderskimi, ale który czyni bez porównania realniejszym i bliższym moment inwazji na samą Japonię.

Amerykanie nie mogliby sobie byli pozwolić na tak śmiałą operację desantową, gdyby nie posiadali wielkiej przewagi na morzu. Dlatego wielka bitwa morska, jaka się rozegrała u brzegów Filipin, była najzupełniej logicznym jej rezultatem. Jeśli z wielkim nakładem kosztów i sił budowana japońska flota wojenna ma do czegoś służyć, to właśnie do tego, żeby tego rodzaju amerykańskie harce na Pacyfiku nie były możliwe.

Zarówno amerykańskie, jak i japońskie komunikaty są zgodne w jednym: w tym, że straty, jakie poniosła marynarka japońska, są bardzo ciężkie. Ale podczas gdy Amerykanie określają swoje własne straty jako lekkie, Japończycy chwają się, że zatopili ponad 70 jednostek marynarki amerykańskiej. Jeżeli komunikaty te są prawdziwe, to w takim razie Amerykanie powinni jak najszybciej pakować manatki i po raz drugi ewakuować się z Filipin. Jeśli tego nie uczynią, będzie to oznaczało, że komunikaty japońskie raz jeszcze „poszły na koloryzowanie faktów”.

O tym, że Japończycy poważnie liczą się z możliwościami utraty Zewnętrznej Strefy, świadczy fakt, że oni, którzy mają dziś w ręku olbrzymie plantacje na terenie Indii Holenderskich, przystąpili do rozbudowywania u siebie produkcji kauczuku syntetycznego i benzyny syntetycznej.

Zarówno lądowanie wojsk amerykańskich na wyspie Leyte, jak i wielkie zwycięstwo morskie przyszyły nie tylko w przeddzień amerykańskiego święta marynarki („Navy Day”), ale i w przeddzień wyborów prezydenckich. Podnoszą one ogromnie prestiż tej administracji, która potrafiła zwycięstwa te zorganizować, i przekreślały jeden z głównych zarzutów republikanów: że prez. Roosevelt zaniedbuje wojnę z Japonią. Nie jest pozabawiony pikanterii fakt, że w ten sposób gen. MacArthur staje się czołowym agentem wyborczym Roosevelta. Jak wiadomo, republikanie przez pewien czas chcieli zyskontować wrażenie bohaterkiej obrony Bataanu i zrobić z MacArthura przy wyborach prezydenckich republikańskiego kontrkandydata Roosevelta. Zreflektowawszy się jednak, że innych kwalifikacji wymaga życie polityczne, a innych operacje wojenne, z projektu tego zrezygnowali. Dziś gen. MacArthur, zamiast kompromitować się na polu polityki, zbiera nowe laury wojenne, a zwycięską akcją wojenną, która musi przynieść dywidendy jego partyjnemu przeciwnikowi, składa piękny dowód politycznej i państwowej lojalności.

30.10.44

ww.

Z PRASY POLSKIEJ

O t. zw. polityce realistycznej

Londyński „Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii” drukuje w nrze z dn. 15 sierpnia artykuł prof. Manfreda Kridla „O tak zwanej polityce realistycznej”. Przytaczamy z niego początkowe fragmenty:

„Prasa aliancka różnych odcieni rozbrzmiewa od dawna rozważaniami na temat polityki „realistycznej”. Mówi się wprawdzie dużo o „idealach”, o które walczą Narody Zjednoczone, ale równocześnie zwraca się uwagę, że owe ideały nie mogą być brane zbyt dosłownie, że muszą być przystosowane do warunków i okoliczności, słowem nie mają być — wbrew istotnemu znaczeniu tego słowa: ideał — zbyt „idealistyczne”, powinny natomiast raczej „sięgnąć bruku” (według określenia Norwida w wierszu „Fortepian Szopena”) — czyli w rezultacie zbrukać się nieco.

W takim stawianiu sprawy jest sporo zdrowego rozsądku i zmysłu rzeczywistości, ale też sporo, a może i więcej, obłudy i wycofania się z pierwotnych pozycji ideowych. Jest poza tym opanowane pojęcie „realizmu”, utożsamianie go z oportunizmem, z chwilowymi koniunkturami: co więcej, zdradza się i balwochwalcza część da siły fizycznej, liczenie się z „faktami”, bez względu na ich znaczenie i wartość, propagowanie bierności wobec tych faktów, a nawet zgody na nie. To wszystko sprawia, że pojęcie „realizmu” w polityce kurczy się ogromnie, przestaje być metodą polityczną, obliczoną na dłuższą metę, a wyraża się w program chwytania i trzymania się chwilowych korzyści, maskowania istotnych tendencji, wstydlwego przemielczania zmiany kursu politycznego przy równoczesnym operowaniu bardzo wzniosłymi, ale ogólnikowymi hasłami.

Nie ulega wątpliwości, że wszelka polityka musi być „realistyczna”, t. j. licząca się z rzeczywistością, a nie bujająca w obłokach. Ale w tym liczeniu się z rzeczywistością są pewne granice, których przekraczać nie wolno właśnie w imię dalej sięgającego i przewidywanego realizmu.

Uznawanie i, co gorsza, poddawanie się wszelkiej rzeczywistości bez względu na to, jaka ona jest, przestaje być realizmem, a staje się ucieczką od odpowiedzialności za to, wśród jakiej rzeczywistości żyjemy, a zaprzeczaniem prawa do walki ze złem. Gdy Polska w lecie r. 1939 znalazła się w obliczu wojny z Niemcami, realizm oportunistyczny nakazywał liczenie się z faktem dziesięciokrotnej przewagi militarnej niemieckiej, z faktem beznadziejności podejmowania walki w takich warunkach, nakazywał więc w konsekwencji — kapitulację przed Hitlerem, czyli pójście śladami Czechów. Pominawszy jednak stronę moralną takiej kapitulacji i jej skutki dla rozwoju zdarzeń w Europie, a może i na całym świecie — nie tylko honor napadniętego narodu, ale istotnie realistyczna (nie „koniunkturalna”) ocena ówczesnej sytuacji skłoniła instynkt narodowy do podjęcia tej rozpaczliwej i beznadziejnej walki, bo naród wiedział i czuł, że jedno ustępstwo Hitlerowi musi z konieczności pociągnąć za sobą szereg następnych, aż do roziągnięcia nad Polską co najmniej „protektoratu” na wzór czeski. W podobnej sytuacji, choć niewątpliwie znacznie lepszej, znajdowała się Anglia w r. 1940, po kapitulacji we Francji. Gdyby wówczas naród angielski kierował się realizmem na krótką metę, niewątpliwie rozpocząłby rokowania z Hitlerem o pokój kompromisowy. Nie chciał jednak liczyć się z faktami dokonany, ale wykazał niezłomną wolę walki z tymi faktami. Przyszłość okazała, że taki właśnie „realizm” był zbawienno. Podobnych przykładów możnaby zacytować więcej.”

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.